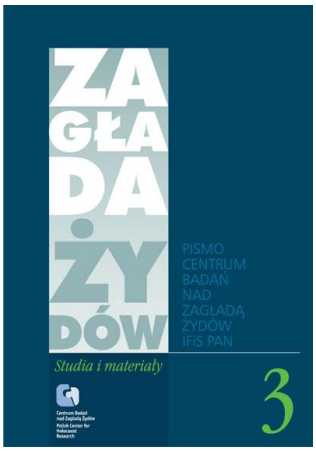


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 3 (2007)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Dziennik Hindy i Chaniny Malachi

The Diary of Hinda and Chanina Malachi

Jan Grabowski
Uniwersytet w Ottawie

grabows@uottawa.ca
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-6916-9379

Lea Balint

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.233
Strony/Pages: 241-265

CC BY

OPEN ACCESS

Jan Grabowski

Dziennik Hindy i Chaniny Malachi

Relacja Hindy Malachi jest wprowadzeniem do obszernego dziennika, spisanego przez nią i przez jej męża – Chaninę Malachiego. Świadectwo Malachich jest dokumentem ważnym, wstrząsającym i zmuszającym do refleksji. Z wielu powodów.

Autorka spisuje swoje przeżycia „na gorąco", w kryjówce po „aryjskiej stronie" w Warszawie. Pisze, chcąc ocalić pamięć własnego cierpienia, agonii najbliższych i zagłady swego narodu. Pisze, używając skrótów myślowych, jakby w obawie przed nadchodzącym nieuchronnym końcem. Nawet na tle dzienników i zapisków z lat wojny tekst Malachi odznacza się niesłychaną barwnością, wręcz namacalnym zagęszczeniem treści i aż do bólu trafnymi spostrzeżeniami. W perspektywnie prześladowań niemieckich, łapanek i wywózek, niezwykle wyraźnie rysuje się nie tyle obojętność wielu Polaków wobec tragedii narodu żydowskiego, ile ich narastająca wrogość do ofiar ludobójstwa. Hinda Malachi wśród Polaków czuje się jak tropione zwierzę. Niewłaściwie wymówiona głoska „ł", ciemne włosy, smutne spojrzenie, wolne ruchy, szybkie ruchy, przygarbiona postać – wszystkie te z pozoru nic nieznaczące cechy nader łatwo mogą ściągnąć na nią śmierć. A zwiastunami śmierci nie są żandarmi niemieccy, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, czym się różni Żyd od nie-Żyda, lecz Polacy, współpasażerowie w pociągu, współlokatorzy w kamienicy bądź zwykli przechodnie.

Powszechność postaw antyżydowskich, zalew ludzkiej podłości, pazerności i chciwości na żydowskie i pożydowskie mienie, zapomnienie jakichkolwiek i wszystkich nakazów chrześcijańskiego miłosierdzia – to między innymi te obserwacje nadają (przynajmniej z punktu widzenia polskiego czytelnika) szczególnej wagi relacji Malachi. Zlot sępów i hien zaczyna się, zanim jeszcze z pobliskiej stacji odejdą transporty do Treblinki. W Ćmielowie, w dzień wywózki Żydów do obozu zagłady, autorka notuje: „widziałam, jak Polacy umizgują się do żandarmów, by im coś dali z domów żydowskich, a na chodnikach i szosach moc podartych modlitewników". Pewna Polka poprosiła konwojenta Ukraińca, żeby pędzonej do wagonu żydowskiej dziewczynie ściągnął chustkę z głowy. Bo niby dlaczego dobra chustka miałaby się zmarnować? Mąż znajomej Polki już tego samego dnia nosi oddany na przechowanie żydowski garnitur. Na nielicznych, którym (tak jak Hindzie) udaje się uciec, czyhają kolejne pułapki: „moje przygodne towarzyszki podróży zaczęły mnie podejrzewać i gadać, że mogłyby teraz zarobić". Zarobienie na Hindzie, i na tysiącach innych rozpaczliwie poszukujących kryjówki Żydach, staje się źródłem utrzymania potężnej rzeszy bezkarnie grasujących szmalcowników.

Jeżeli chodzi o próbę wyjaśnienia samego zjawiska szmalcownictwa, to zapis Malachi ma znaczenie podstawowe. Do „zwykłych" szmalcowników, którzy po prostu zgarniają Żydów z dworców, z ulicy bądź w pobliżu gett, dochodzą bardziej wyrafinowane szajki i gangi, które bawią się swoimi ofiarami jak kot z myszą. Dlaczego zresztą złoczyńcy mieliby zadowolić się tym, co Żyd ma przy sobie, gdy można go przecież wziąć (oraz wszystkich jego znajomych i krewnych) w tak ścisłą pajęczynę „opieki", że odda ostatnią obrączkę, dolara lub złotówkę? Choć z reguły sami szmalcownicy nie zabijali własnoręcznie swych ofiar, to przyczyniali się bezpośrednio do ich zguby, bo „Żyd stał bez możności dalszego ratowania się, bo bez pieniędzy nikt nie chciał go przez próg przepuścić" – jak wspomina Hinda. Żydzi, którzy raz wpadli w ręce „fachowców", są „szmalcowani" bez przerwy i na wiele sposobów. Hindę i jej męża oraz ich znajomych „szmalcują" znajomi, nieznajomi, znajomi gospodarzy, gospodarze, granatowi policjani i policjanci z Kripo oraz inni agenci. W krótkim czasie stają się „kotami", które przestępcy podają sobie z rąk do rąk. Jeżeli nawet parę tygodni mija bez szmalcowania, to gospodarze pobierają tak wysokie komorne, że powstaje pytanie, gdzie kończy się pomoc, a zaczyna szantaż. Jak można zakwalifikować pobieranie w 1943 roku opłat rzędu 2500–5000 złotych miesięcznie za pokój? Czy to już wymuszenie, czy jest to jeszcze pomoc? Warto pamiętać, że Polak Aryjczyk płacił wówczas 250–400 złotych... Nie bez powodu autorka cytuje jednego z „opiekunów": „wy jeszcze nie możecie umrzeć, bo trzeba wpierw wszystko od was wyciągnąć".

Relacja Hindy Malachi, jak wszystkie tego rodzaju źródła, jest jednostkowa i niekwantyfikowalna. Nie znaczy to jednak, że zawarte w niej wrażenia, uczucia i stwierdzenia tracą przez to na znaczeniu. Wręcz przeciwnie, ogromny zasób relacji z Yad Vashem stanowi przebogate źródło infomacji o losach żydowskich w okupowanej Polsce. A relacje te w dużej mierze wtórują zapisowi gehenny Malachich.

Lea Balint

O Autorach

Chanina urodził się w Ostrowcu w roku 1918. Jego rodzice, Szmuel i Fajga Szermanowie, prowadzili hurtownię tkanin i byli dosyć zamożni. Ojciec Chaniny zmarł na raka w roku 1938, a matka, z domu Tanenbaum, zmarła w getcie w 1942 roku. Państwo Szermanowie mieli dwie córki i pięciu synów. Najstarsza córka, Ita, wdowa (jej mąż zmarł śmiercią naturalną w 1938 roku), zginęła w Treblince z dwojgiem dzieci. Ester i trójka jej dzieci także zginęli w Treblince. Lejb Leon, jego żona Rywka i syn Szmuel zostali zamordowani przez Polaków, którzy ukrywali ich za pieniądze. Ich córka Pnina, ukrywana przez polską rodzinę Krasa, przeżyła Holokaust. Po wojnie Pnina wyemi-

growała do Izraela i została zaadoptowana przez rodzinę w kibucu. Kolejny brat Chaniny – Szaja został zabity przypadkowo przez Amerykanów w ostrzale pociągu przewożącego więźniów z jednego obozu do drugiego pod sam koniec wojny. Jego żona Dwora i ich dwie córki zginęły w Treblince. Dawid zginął w Oświęcimiu, jego żona Rachel i córka Zlata zginęły w Treblince. Chanina, szósty z braci, autor dziennika, ukrywał się za pieniądze u państwa Piskorskich, a w trakcie powstania warszawskiego podawał się za Polaka o nazwisku Jan Wójcik. Jego żona Hinda, także autorka dziennika, przeżyła okupację, ukrywając się w Warszawie na aryjskich papierach. Szlomo, najmłodszy z braci, był kawalerem. Został zamordowany przez członków polskiego podziemia, wciągnięty w pułapkę, kiedy to grupa młodych Żydów chciała przyłączyć się do partyzantki.

Także rodzice Hindy prowadzili w Ostrowcu sklep z tkaninami. Specjalizowali się w tekstyliach i materiałach do użytku domowego. Oboje zginęli w Treblince.

Hinda miała trzy siostry. Najstarsza, Frida, przed wojną pracowała jako skarbnik fundacji Keren Kajemet. Wraz z synem zginęła w Treblince. Jej mąż przeżył Zagładę i po wojnie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Druga siostra, Bluma, razem z córką zginęła w Treblince. Także jej mąż przeżył Oświęcim, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i tam zmarł. Trzecia córka, Hinda, i jej mąż Chanina, autorzy dziennika, przeżyli Holokaust. Hinda była najbardziej utalentowanym dzieckiem w rodzinie, odznaczała się szczególnie w rachunkach. Jej najukochańszą siostrą była Frida. To właśnie ona zdobyła dla Hindy aryjskie papiery, dzięki którym udało się jej wydostać z getta. Frida nie chciała pójść razem z Hindą. Twierdziła, że z obrzezanym niemowlęciem nie ma żadnej szansy na przeżycie poza gettem. Najmłodsza siostra miała na imię Ester. Była niezamężna. Przetrwała Holokaust dzięki aryjskim dokumentom na nazwisko Janina Sipińska. Ukrywała się w Warszawie u ormiańskiej rodziny, państwa Dabadgian, którzy polubili ją bardzo i chcieli, aby została z nimi także po wojnie.

Chanina i Hinda poznali się w organizacji młodzieżowej, mieli wówczas po czternaście lat. Pobrali się w czasie wojny i chociaż majątki żydowskie już wtedy skonfiskowano, oboje mieli wystarczająco dużo pieniędzy, aby urządzić wesele. Ślub odbył się w getcie 14 lutego 1941 roku, a wesele zorganizowali w następny piątek w sali rady gminy. W sobotę wieczorem wszyscy przyjaciele z organizacji młodzieżowej, rodzina i znajomi tańczyli horę i śpiewali syjonistyczne pieśni. W jakiś czas po ślubie Chanina zaczął przekonywać Hindę, aby uciekła z getta, posługując się fałszywymi papierami na nazwisko Halina Stawiarska, które zdobyła dla niej siostra Frida. Rozumiał, że z powodu semickiego wyglądu i akcentu on sam nie ma żadnej szansy przeżycia poza gettem. Hinda wahała się, nie chcąc rozstawać się z mężem i rodziną, i odkładała ucieczkę całymi miesiącami. Przy pomocy Polki, która obiecała wyszukać jej kryjówkę w zamian za pieniądze, Hinda wyszła z getta po raz pierwszy 9 października 1942 roku, zaledwie dzień przed pierwszą wywózką.

Kilka miesięcy później Hinda, która mieszkała już po aryjskiej stronie w Warszawie, pomogła mężowi z zorganizowaniu ucieczki. Ich losy warszawskie opisane są w publikowanym tutaj fragmencie dziennika. W drugiej, niepublikowanej tu części dziennika oboje małżonkowie zapisują na zmianę bieżące wydarzenia, uczucia i refleksje.

Gdy wybuchło powstanie, Chanina mieszkał nadal u Piskorskich i został rozdzielony z Hindą i przyjaciółmi, którzy pozostawali z nim w kontakcie przez cały czas, gdy się ukrywał. Wraz z mieszkańcami Placówki i innych wsi został przeniesiony do obozu przejściowego w Pruszkowie. Zostawił wówczas dziennik koło domu, w którym się ukrywał: schował go w królikarni.

Hinda z siostrą Ester wciąż mieszkały w Warszawie, kiedy 1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie. Przeżyły je podobnie jak wszyscy mieszkańcy miasta – w piwnicach i pod gruzami. Po ewakuacji i przejściu przez obóz w Pruszkowie zostały skierowane do miejscowości Wolbrom, której mieszkańcy musieli przyjąć uchodźców do swoich domów. Tam Hinda dowiedziała się, że Chanina jest w Pruszkowie, pojechała więc odnaleźć męża.

14 stycznia 1945 roku Chanina z żoną i przyjaciółmi pojechał do wyzwolonego Lublina, żeby zorganizować emigrację do Palestyny. Po nieudanej próbie wydostania się z Konstancy, osiedli w Wiedniu, gdzie Chanina pracował przy organizacji Brichy. Opiekował się tysiącami uchodźców mieszkających w obozie przejściowym, w szpitalu im. Rotszylda w Wiedniu, w niezwykle trudnych warunkach. W tym czasie pojechali do Polski, by odebrać ocalałą siostrzenicę, Pninę, od Polaków, którzy ją ukrywali. Przy okazji Chanina pojechał też do osady Placówka pod Warszawą – i tam odnalazł swój dziennik. Niestety, uległ on uszkodzeniu – pierwsze i ostatnie kartki zgniły i nie da się odcyfrować znajdujących się na nich zapisków.

W kwietniu 1947 roku małżonkowie Malachi wraz z Pniną wyemigrowali do Izraela, początkowo zamieszkali w kibucu. W 1949 roku osiedli w Haderze, gdzie mieszkają do dziś w małym domku z ogródkiem. Chanina pracował przy budowie dróg i w hodowli drobiu. Hinda zajmowała się domem i trójką dzieci – synem i dwiema córkami. Zmienili nazwisko na Malachi – co po hebrajsku znaczy „anioł", utworzone od panieńskiego nazwiska Hindy.

Dziennik Malachich został napisany w języku polskim, w kratkowanym zeszycie do rachunków. Obejmuje on okres od 9 października 1942 do 30 sierpnia 1944. Na dwudziestu dwóch pierwszych stronach autorka opisuje wydarzenia od 9 października 1942 roku, czyli od dnia opuszczenia domu w Ostrowcu, do dnia 3 sierpnia 1943 roku. Retrospekcja kończy się zdaniem: „Kończę tutaj opisywanie tego, co przeszliśmy w ciągu roku. Teraz mam zamiar zapisywać ważne wydarzenia każdego dnia". Codzienne zapiski rozpoczynają się dnia 5 października 1943 roku, a kończą 30 sierpnia 1944 roku.

Oryginał dziennika znajduje się w archiwum Yad Vashem w Jerozolimie.

Z języka hebrajskiego tłumaczyła *Magdalena Sommer*

Hinda i Chanina Malachi

Dziennik[1]

5 października, wtorek 1943 roku

[...] od dłuższego czasu noszę się z zamiarem napisania czegoś, bo przecież to skandal, by mając tyle wolnego czasu, nic nie pisać. Ale wprost nie mam tych zdolności. Sądzę jednak, że do tego nie muszą być specjalne zdolności, przecież dla siebie to piszę, a nie do druku. Chcę to zachować na pamiątkę dla naszych dzieci, o ile tę straszną wojnę przeżyjemy. Wprawdzie trochę późno się do tego zabieram (a może wojna dopiero się zaczyna), trzeba było zacząć pisać przynajmniej od czasu, gdy przyjechaliśmy do Warszawy.

Przede wszystkim postaram [się] przypomnieć sobie co zaszło od dn. 9 października 1942 roku, tj. od daty wyjazdu mojego w nieznane, by się ustrzec przed wysiedleniem.

Było to w piątek, wśród gotowania i pieczenia zostałam oderwana nagle i już o 4-ej p.p. dzięki staraniom Frani wyjechałam z panią Bram jako Halina Stawiarska do Ćmielowa, skąd wieczornym pociągiem miałyśmy dalej jechać do Skarżyska, a stamtąd na Czerniecką Górę. Nigdy nie zapomnę mego wyjścia z mieszkania rodziców. Primo, że chciałam się z nimi pożegnać (jedynie Heniek mnie w czoło pocałował), by nie mieć śladu łez na twarzy, ale czułam wychodząc, że każdy płacze i myśli w tej chwili to samo, co ja: czy się jeszcze w życiu zobaczymy? Niestety – z Franią, Kubusiem, Blimcią i Dorką już się więcej nigdy nie zobaczę. Z przyczyn mnie nieznanych p. Bram zdecydowała wyjechać następnego dnia rano, a na noc mnie ulokowała za protekcją jej znajomej dentystki u jednych państwa na ul. Sandomierskiej, przedstawiając mnie jako warszawiankę, uciekinierkę przed łapankami. Drugiego dnia rano przyszła po mnie pani dentystka, oświadczając, że p. Br[am] wyjechała do Ostrowca na zwiady, bo chce Franię z Kubusiem też tu zabrać, byśmy już razem wyjechali na Czerniecką Górę.

Ten sobotni dzień spędziłam u pewnej szmuklerki, która mnie zakluczyła i poszła na wieś. Leżałam cały dzień w łóżku, nic nie jedząc i myślałam o moim smutnym losie, próbując siebie usprawiedliwić, że wyjechałam się ratować sama, ale miałam wtedy szaloną chęć wrócić. Wieczorem przyszła po mnie p. Br[am], przywożąc mi z Ostrowca od mamy kilka jabłek. Jak się później okazało, mama jej dała również majtki wełniane, komplet elastyczny, ręcznik kąpielowy itp. rzeczy, które by mi się bardzo przydały, bo wyjechałam na letniaka, a zaczynało się robić chłodno. Bramowa mi o tym wszystkim nie wspomniała, skarżyła się, że mama nie miała do niej zaufania, bo

[1] Publikowany tekst stanowi pierwszą część dziennika pisanego wspólnie przez małżonków Malachi w ukryciu po stronie aryjskiej. Ta część – dotycząca okresu od 9 października 1942 roku do 3 sierpnia 1943 roku – pisana jest przez Hindę. Później obydwoje spisywali notatki, wrażenia, sprawy bieżące, które stanowią drugą część dziennika. Zachowaliśmy pisownię oryginału.

mąż chciał dać kilka kuponów materiału, a ona nie dała. I tym razem nie wyjechałam z Ćmielowa, ulokowała mnie znowu u jednej kobiety z synkiem, której mąż był w Niemczech na robotach, na ul. Zamkowej 11. Wtedy już straciłam całe zaufanie do mojej przewodniczki, do której przemawiałam jak do matki, a ona tylko chciała wiedzieć, ile pieniędzy mam przy sobie. Byłam w tym miejscu do czwartku rano, był to dzień przed wysiedleniem w Ćmielowie i moja gospodyni się bała trzymać mnie niezameldowaną. Przez te kilka dni p. Bramowa do mnie przychodziła, odkładając wyjazd z dnia na dzień i wydobywając ode mnie na podróż do Ostr[owca] na zwiady coraz to inne drobne sumki. Wiadomości, jakie przychodziły z Ostr[owca], były bardzo smutne. Wysiedlenie się rozpoczęło w niedzielę rano[2] i ludzie siedzą już 3 dni na placu „stalagu" bez jedzenia i picia. Domyśliłam się, że teraz już nie ma sensu spodziewać się Frani, bo od piątku nie zdążyła sobie zrobić potrzebnych papierów. Jak już wspomniałam, w czwartek rano już miałam wymówione mieszkanie. Pani Bram mnie posłała wtedy z posługaczką dentystki na pobliską wieś po locum, ale nikt mnie nie chciał przyjąć. Wróciliśmy, zastając drzwi u p. Br[am] zamknięte. Przenocowałam wtedy u tej posługaczki. Nazajutrz w piątek było wysiedlenie w Ćmielowie, ja nie miałam gdzie być, bo teściowa posługaczki mnie wyprosiła, bojąc się teraz kogoś w domu trzymać i stałam cały czas niedaleko wagonów, do których wpędzano nieszczęśliwych. Zaraz po tym poszłam na miasto, spotykając na ulicach kilka trupów i widziałam, jak Polacy umizgują się do żandarmów, by im coś dali z domów żydowskich, a na chodnikach i szosach moc podartych modlitewników. Weszłam do jednego sklepu kupić gęsty grzebyczek, to mi powiedzieli, że „wszystkie gęste grzebyczki zakupili na swoje wszy Żydzi do wagonów" i to z takim zadowoleniem zostało powiedziane.

Gdy się nareszcie skomunikowałam z panią Br[am], radziła mi wyjechać na razie do Krakowa, by się dowiedzieć o adres Marysi Michalskiej, która pracowała w Radomiu, a jeśli z tego nic nie będzie, bym wróciła, to ona już zaradzi. Musiałam się na to zgodzić, bo nie miałam gdzie być, a ona wzięła garnitur Heńka za to, by mnie ulokować. Wiedziałam, że już nie mam co na nią liczyć, ale pamiętam słowa Heńka wypowiedziane do mnie przed wyjazdem: „Pamiętaj, nie polegaj całkiem na niej, licz na swoje siły". Przed wyjazdem jeszcze wyłudziła ode mnie 400 zł, niby to na starania w Ostrowcu, bo prawdopodobnie policja jest wywieziona do Starachowic, to ona by mogła Heńka wydobyć[3]. Dała mi adres jej znajomej z Konina, p. Celiny Barańskiej, i bardzo czule się pożegnaliśmy, również z jej mężem, który już nosił garnitur Heńka. Więc w piątek wieczór dn. 16 października udałam się pierwszy raz sama w podróż i to tak daleko, aż do Krakowa. Przypomniał mi się mój kochany tata i jego przestrogi i „nie wysiadaj przedtem, zanim pociąg porządnie nie stanie na miejscu", „nie stój przy drzwiach wagonu" itp., a do tych przestróg zawsze mi dawał towarzysza na drogę. Na stacji ćmielowskiej przysiadł się do mnie jakiś kolejarz, z którym dość długo

[2] Ostrowiec zamieszkiwało przed wojną około 10 000 Żydów, napływ przesiedleńców i uchodźców spowodował, że w getcie (zamkniętym w lutym 1941 roku) znajdowało się około 16000 osób. Wysiedlenie z getta odbyło się 11 października 1942 roku. Kilkaset osób pozostało w lokalnych przedsiębiorstwach i fabrykach pracujących dla Niemców.

[3] Chanina (Heniek) Szerman, mąż autorki, był członkiem policji żydowskiej.

rozmawiałam. W końcu zaczął podejrzewać, a to dlatego, że „ł" wymawiałam niedobrze, ale gdy po długim wahaniu się zapytał, czy jestem żydówką, a ja odpowiedziałam „Na rany Jezusa, co też pan myśli", to podejrzenie się rozwiało. A co do litery „ł", to mu wytłumaczyłam, że jestem z Wilna i tam tak mówią.

Przyjechałam do Krakowa w sobotę rano, deszcz lał jak z cebra, ale miałam swoją parasolkę, nieodłączna moja towarzyszka, którą jeszcze dzisiaj mam. Zwróciłam się do pierwszego posterunkowego o wskazanie mi tramwaju w kierunku ulicy Twardowskiego i okazało się, że on jedzie w tym samym kierunku i chętnie mi będzie towarzyszył. Pani Celina, do której się udałam po pobycie u rodziców Marysi i zdobyciu adresu, dużo serca mi okazała, zaprowadziła mnie na obiad, bo widziała, że już dawno nie jadłam i jestem porządnie wygłodniała. Jej gospodyni, bardzo inteligentna kobieta z elity Krakowa, też mnie koniecznie chciała uraczyć obiadem, w końcu zjadłam sam gulasz. Na zakończenie tego dnia, po opłakiwaniu naszych rodziców i bliskich, poszłyśmy do kina. Po filmie już było porządnie ciemno, odprowadziła mnie na stację i serdecznie pożegnała. W niedzielę rano już byłam w Radomiu. Pierwsze, co spotkałam w tym mieście, idąc ze stacji, to robotników [żydowskich] prowadzonych przez policjantów do pracy. Skomunikowałam się z Marysią, poznałam jej narzeczonego i poszliśmy razem do kościoła, wracając, wstąpiliśmy na obiad, a narzeczony poszedł załatwić dla mnie i Marysi wspólny pokój. Za zamieszkiwanie ze mną miałam dać Marysi całe utrzymanie. Jednak nie dało się to przeprowadzić, bo najmowanie mieszkań przechodzi przez komisję kwaterunkową i komisariat, tak twierdził narzeczony. Z Radomia wyjechałam w poniedziałek wieczór z powrotem do Ćmielowa. Muszę tu jeszcze dodać, że spędzając poniedziałkowy dzień sama, bo Marysia była przy pracy, myślałam o tym, dobrze by było, gdybym spotkała (Semky?) (bardzo lojalny SS-man z Ostr[owca], został tu przeniesiony); wyznać też muszę całą prawdę, może on by mi powiedział coś o Ostr[owcu] i poradził, co robić. Idąc właśnie na stację wieczorem, zobaczyłam go, ale mi zabrakło odwagi, by dojść.

We wtorek rano już byłam w Ćmielowie, ale jakież było moje rozczarowanie, gdy się dowiedziałam, że pani Bram z mężem wyjechali w niewiadomym kierunku. Moja dawna gospodyni z ul. Zamkowej nie chciała mnie przenocować, opowiedziała mi tylko, że miała powodzenie, bo gdy prowadzili Żydów do wagonów, ona poprosiła ukraińca o chustkę jednej żydówki i ten ściągnął tamtej chustkę dla niej. Złamana, wyczerpana i bez żadnych projektów na przyszłość udałam się znowu na stację, by wyjechać do Skarżyska – może tam będę mogła przespać u jakiegoś kolejarza, bo już byłam strasznie zmęczona i pragnęłam tylko łóżka. Bilet dostałam na pociąg nocny, który odchodził dopiero o 4-ej nad ranem. Usiadłam na ławce i zaczęłam drzemać, ale przysiadł się do mnie jakiś młodzieniec, czarny jak cygan, poznałam że to nie Polak. Był to Węgier. Mówiliśmy o różnych rzeczach, a gdy zaczął źle mówić o Żydach, nie mogłam wytrzymać, tem bardziej że mnie już na niczym nie zależało i zaczęłam ich bronić. Oczywiście się domyślił, kim jestem, bo kto teraz broni Żydów, przeciwnie, każdy Polak ma satysfakcję i wszędzie o tym rozpowiada. Przyznałam się, że jestem żydówką, na co on zareagował gwałtownym powstaniem z miejsca, pokazując mi jakiś papier, jakoby on był w „Gestapo" niemieckim. Później kazał, bym z nim wyszła na peron i tam zażądał, bym mu się oddała, to mnie zostawi przy życiu, bo jego obowiązkiem jest mnie dostar-

czyć do „Gestapo". Odpowiedziałam mu na to, że mi obojętne jest życie i się nigdy nikomu nie oddam. Jakoś się zlitował, wprowadził z powrotem do poczekalni, bo drżałam z zimna i tam mu wszystko o sobie opowiedziałam. Radził mi nie zważać na męża i rodziny, bo jeżeli nawet zostali w pierwszej akcji, to też zostaną w końcu wykończeni, ale wyjechać do Krakowa, zgłosić się Arbeitsamtu, jako ochotniczka do Niemiec. Zwrócił mi też uwagę na wymowę litery „ł". Potem poczęstował cukierkami i pożegnał, bo jego pociąg przyjechał. Ja natomiast, nie zważając na jego lekcję, pojechałam do Skarżyska, by odpocząć, dowiedzieć się co w Ostr[owcu] słychać i dalej nie myślałam. W środę rano byłam już Skarżysku, dostałam locum u jednego kolejarza na ul. Kolejowej 113. Pierwszą moją czynnością było spać. Śniło mi się wtedy, że mama przyszła do mojego mieszkania i przyniosła mi mięso specjalnie dla mnie kupione. Ja się spytałam: „mamo, żyjesz, a ja myślałam, że Cię już nie ma". Mama na to odpowiedziała: „jak widzisz, żyję jeszcze". Ten sen mnie trochę podniósł na duchu. Przed gospodynią udawałam, że przyjechałam po starzyznę, ale muszę z dzień, dwa poczekać, bo ma nadejść świeży transport zimowy. Kupiłam sobie palto, rękawiczki, buty, pończochy, bo marzłam. Przypadkowo przechodząc przez most, spotkałam pana Grosmana z Ostr[owca]. On mnie poznał i poinformował, że w Ostr[owcu] jeszcze akcja nie zakończona, ale następnego dnia kazał przyjść do żony na placówkę, to będzie miała dokładne wiadomości, bo wysłali człowieka. W piątek rano poszłam więc na umówione miejsce i dowiedziałam się, że w Ostr[owcu] było i jest jeszcze strasznie, że jest moc trupów, a wśród nich i kilku policjantów. Postanowiłam więc wrócić do Ostr[owca], by się dowiedzieć już całej prawdy i o ile to możliwe połączyć się z Heńkiem. Wiedziałam jedno, że ja za bardzo nienawidzę Polaków, bym mogła wśród nich przebywać. Niedzielę spędziłam jeszcze u tego kolejarza w towarzystwie pani Kandel z Sandomierza. Ona też już dość miała wędrowania i też się chciała dostać do Sandomierza. W poniedziałek rano, 26 października, przyjechałam do Ostr[owca]. Na zakręcie ul. Kolejowej zobaczyłam policj[anta] Flajszera, prowadzącego robotników do fabryki. Nie mogłam jednak do niego dojść, bo była moc robotników przed fabryczką. Udałam się do /Suniny/[?] do p. Przestraszyła się na mój widok, ale mnie bardzo dobrze przyjęła. Od niej się dowiedziałam, że ani jedna kobieta się nie została; że jeszcze wyciągają ludzi ze schronów; żydzi mają porobione schrony od Rynku do rzeki, mając wewnątrz wielkie zapasy, nawet żywą krowę. Na moją prośbę zgodziła się pójść do miasta z listem, by pierwszemu napotkanemu policjantowi [żydowskiemu] go oddać. Załatwiła mi to, wróciwszy dowiedziała się przede wszystkim, że Heniek żyje, bo policjant, który odebrał list do niego, to powiedział. Gdy [jej] mąż wrócił z fabryki, opowiedział, że robotnicy fabryczki dwa tygodnie spali na placu fabryki, zastrzelono 3-ch na postrach, by wszystko oddali i zebrano ciężkie majątki; a najważniejsze Heniek żyje. Pani Kr. narzekała na mamę, że jej nic nie dała do przechowania, ona by przecież nie zabrała itd. Później się okazało, że nie tylko mama, ale nawet Frania jej dała bieliznę i inne rzeczy. Niespodziewanie o 5 przyszedł pan Głuch[owski] z poleceniem, bym o 6 była na ul. Polnej. Moja radość nie miała granic. Zaraz wyruszyłam w drogę, na Polnej zobaczyłam placówkę kobiet, prowadzonych przez Wilka. Oszołomiona, z wielkiej radości wpadłam w ich szeregi, włożyłam naprędce chusteczkę – imitację opaski, dając do potrzymania ko[...] pudełko z cukierkami, sacharyną i papierosami, bo myślałam, że w get-

cie głód. Pudełka już więcej na oczy nie zobaczyłam, ale to nic, miałam się zobaczyć zaraz z Heńkiem. Grupa, do której się przyłączyłam, była placówką Jegera, dopiero razem z nimi poszłam do Cegielni, wróciłam do getta dopiero o 8, było już zupełnie ciemno. Pierwszą napotkaną osobą był Pinek Alterman, z którym się serdecznie pocałowaliśmy i poszliśmy na poszukiwanie Heńka. Gdy[śmy] się nareszcie zeszli z Heńkiem, z wielkiej radości aż mnie na rękach zaniósł do domu. Nasz nowy dom było mieszkanie wspólne z 7-oma policjantami – Ber, Alkichen I i Sz Politański, Zyngier, Zajfman, Bronzajt. Nie poznałam nikogo ze znajomych, wszyscy mieli twarze zmienione po tych ciężkich i strasznych przeżyciach. Czułam, że każdy z naszych żonatych współlokatorów patrzy na radość Heńka z zazdrością, oni bowiem wszyscy potracili żony. Jedną tylko noc spędziłam w getcie i mimo swych najszczerszych chęci musiałam się znowu rozłączyć z Heńkiem, bo on tak chciał, bojąc się dalszego wywożenia. Dowiedziałam się, że z mojej rodziny zostali mi rodzice, Estera i szwagrowie. Z rodziny Heńka wszyscy mężczyźni i Regina z dziećmi, która jeszcze wyjechała z Ostr[owca] przede mną/ Do niej mnie właśnie teraz wysłali (Heniek i Leon), że niby pracuje, jest zameldowana i ona razem z p. Manią /Sztajwo/ mnie też ulokują. Dałam się namówić i we wtorek wieczór, po spędzeniu tego całego dnia u p. Kr., wyjechałam do Warszawy. Adres, który miałam, nie był dobry, po długich poszukiwaniach spotkałam przypadkowo p. Leszczyńskiego (on ulokował Reginę), który mnie poinformował, że Regina z p. Manią są w Świdrze. Wieczorem, gdy już miałam tam pojechać, spotkaliśmy Reginę ze Stefankiem i razem z nią pojechałam do Świdra. Tu się dowiedziałam, że nie jest wcale tak, jak mnie Leon poinformował, przeciwnie, mają zamiar stąd wyjechać, bo jakiś policjant ich prześladuje. W czwartek rano przyjechał p. Leszczyński, zabrał p. Manię z córeczką do Warszawy, a Bronka wyjechała do Ostrowca, skomunikować z Leonem, co mają dalej robić. Ja miałam zamiar już wrócić, ale Regina mnie prosiła, bym czekała na powrót Bronki, bo sama z dwojgiem dzieci sobie nie poradzi. Wieczorem poszłyśmy obie z dziećmi na stację, by powrócić do Warszawy i ulokować się w hotelu. Ale jakie było nasze przerażenie, gdy na stacji zobaczyliśmy tego policjanta – prześladowcę. Rano już był u nas zauważył brak pościeli i bagażu i widocznie się skapował, że mamy zamiar zwiać. My, nie namyślając się długo, zaczęłyśmy po prostu uciekać do Otwocka i tam wskoczyłyśmy do pociągu, który już ruszał z miejsca. Ulokowałyśmy się w Hotelu Amerykańskim na Chmielnej i czekaliśmy na powrót Bronki. Było to już 30 października, postanowiłam nazajutrz wrócić do Ostr[owca], by na niedzielę i dzień moich urodzin być razem z Heńkiem, tem bardziej że tu dla mnie przyszłości nie ma. Na szczęście Bronka wróciła w sobotę rano, a ja już o 12 w południe wyjechałam z Warszawy. Przed Skarżyskiem moje przygodne towarzyszki podróży zaczęły mnie podejrzewać i gadać, że mogłyby teraz zarobić. Ale było już Skarżysko i musiałam się na moje szczęście przesiąść do pociągu na Ostr[owiec]. Pociąg ten stał jeszcze na stacji może godzinę, a gdy tylko drzwi wagonu się otwierały, byłam pewna, że to żandarm po mnie. Jednak szczęśliwie przyjechałam i znowu spotkałam placówkę z Rzeczek, z którą razem weszłam do getta. Tym razem Heniek się już nie cieszył i już znowu kombinował, jak mnie wysłać. W niedzielę były to bardzo smutne urodziny, przyszli rodzice i oczywiście bez płaczu się nie obeszło, a ja im w oczy nie mogłam spojrzeć, jak ja bym była winna, że już nie ma Frani i Blimki. Cały dzień Heniek latał, by znowu

mnie wysłać i znowu mu się udało. Ale tym razem już miałam wyjechać na dobre. Zabrała mnie ze sobą do Warszawy pani Rostkowska, krewna p. St. i miała mnie trzymać u siebie lub też ulokować u jej znajomej. Przyjechałyśmy do Warszawy we wtorek rano o 8. Pani Rostkowska musiała iść do szkoły, więc umówiłyśmy się spotkać o 1 na Dworcu Głównym. Ja poszłam do hotelu. do Reginy. Opowiedziała mi, że w nocy tu w sąsiednim pokoju był napad rabunkowy, więc lepiej wyjść, bo policja się kręci. Gdy wróciłam o 12 z ulicy, już nie zastałam ich, portier mi wytłumaczył, że ich zabrano na kontrol. Byłam pewna, że już ich więcej nie zobaczę. Zaczęłam krążyć po ulicach jak zwariowana, bo mi się zdawało, że mnie śledzą, ale na 1-szą musiałam być na Dworcu, więc poszłam tam. Jaka była moja radość, gdy tam spotkałam Bronkę, okazało się, że to byli agenci (dziś już wiem, że to mogli być zwyczajni szmalcownicy) zabrali im 10 000, które ja im przywiozłam i teraz siedzą na Dw[orcu] Wschodnim i nie wiedzą, w którym kierunku się udać. Przyrzekłam tam do nich pójść po załatwieniu z p. Rostkowską. Gdy wreszcie ta pani przyszła, dowiedziałam się, że nic z tego. Namyśliła się, w Ostr[owcu] miała zamiar męża nie wtajemniczać, ale doszła do wniosku, że nie może przed mężem kłamać, a mąż się na to za nic w świecie nie zgodzi. Również znajome się boją, ale jeszcze w jedno miejsce razem pojechałyśmy i tam się nie udało, bo było zamknięte. Radziła mi więc wyjechać w okolicę Zakopanego do Poronina, podała mi nawet adresy pensjonatów i odprowadziła na Dw[orzec] Wschodni. Reginy już tam nie zastałam, później się dowiedziałam, że jakaś kobieta z Radomia je zabrała do siebie, mimo że się domyśliła, kim są. Wróciłam więc znowu do Ostr[owca] w środę rano, postanowiłam więcej z miejsca się nie ruszać. Heniek się wystarał dla mnie o placówkę razem z Esterą u Mendy. Miałam tam bardzo miłe towarzystwo sióstr Wajsblum, a ofiarą była panna Klajman, która nas bawiła piosenkami i humorem. Po powrocie z pracy było zawsze w domu wesoło, bo każdy dowcipkował i starał się zagłuszyć, by nie pamiętać o tem, co było. Żarło się, piło i bawiło aż do rozpusty, jak naprawdę przed śmiercią, by wszystko dobro tego świata zużyć przed końcem. Bardzo rzadko odwiedzałam rodziców, czego sobie nie mogę darować. Zawsze będąc u nich, musiałam płakać, wspominając naszych kochanych. Ojciec mocno wierzył, że przeżyjemy i nasi ukochani wrócą i wtedy każdy opowie swoje przeżycia przy wspólnym stole. Jedyną ich pociechą był Abram, który się nimi opiekował i co mógł załatwiał, będąc policjantem. Mama przyrzekła go zawsze uważać za syna, choćby już Blimka miała nie wrócić, bo co do tego to mama się nie łudziła tak jak ojciec. Serce mnie mocno bolało, gdy widziałam moją wiecznie chorującą matkę idącą w mrozy i śniegi do pracy na szosę. Raz pamiętam rano, gdy się ustawialiśmy, nasza grupa osobno i taty osobno na Sienkiewicza, ojciec nagle doszedł do mnie i zaczął mnie poprostu obsypywać pocałunkami. Później mama powiedziała, że ojciec jej o tym opowiedział – był to szał tęsknoty za utraconymi dziećmi i zarazem upewnienie, że jeszcze mnie ma.

Wśród tego wesołego życia i hulanek zaczęto jednak szeptać o zbliżającym się drugim wysiedleniu. Heniek już zawczasu upatrzył dla mnie 2 miejsca, bym w razie niebezpieczeństwa mogła tam pójść. 10 stycznia nastąpiło drugie wysiedlenie, podczas którego straciłam swoich kochanych Rodziców. Ja byłam podczas tego wysiedlenia przez 3 dni u p. S. Jabłońskiego razem z Reginą, Bronką i Stefankiem, którzy mieli przejścia i wkońcu wrócili też do Ostrowca. Magdzia już wtedy była oddana panu Kr.,

który kazał sobie nawet dom odpisać. Właściwie ja miałam te 3 dni być u pewnego /Jałosego/, który już raz po mnie przyszedł do getta, zaprowadził do siebie, bym wiedziała w razie niebezpieczeństwa dokładną drogę. Ale gdy przyszłam w tym krytycznym momencie, matka jego powiedziała, że o niczym nie wie, choć syn był w drugim pokoju i nie chciała mnie przez próg puścić. Musiałam w ciemności po śniegu szukać drogi do Gienka. Tam nas jeden dzień chętnie trzymali, a gdy już akcja była w toku, to się zaczął bać „może już Heńka nie ma" i nas wprost wygonił. Dopiero góral pomógł. W poniedziałek wieczór, tj. 11 stycznia, wróciłam do getta. Została mi jeszcze Eścia, którą Heniek wprost cudem wyratował. Również ojciec mógł zostać, ale nie chciał bez matki. Później się dowiedziałam o tej tragicznej podróży moich Rodziców. Tochterman i Gertner uciekli z wagonu i nam opowiedzieli, że matka była strasznie spragniona, prosiła się trochę śniegu; przez cały czas nic do siebie Rodzice nie rozmawiali. Mamcia Gutholca też wtedy wyskoczyła z wagonu, leżała dłuższy czas w śniegu i sobie odmroziła obie stopy, które zostały jej później amputowane. Gdy myśmy wyjechali z Ostrowca ona leżała po operacji.

W getcie znowu wróciliśmy do naszego normalnego „życia". Przeprowadziłam się z Heńkiem na II-gie piętro, dostaliśmy wspólny pokój z Marianem Psajgielwanem i jego żoną Hanką Wurman. Naszymi sąsiadami, którzy przez nas przechodzili, byli Sztajnbaumowie z żonami i Szlamek Rubinsztajn z Bronką Landau. Ja już do pracy nie powróciłam, więc mieliśmy względnie czysto i sama gotowałam najlepsze rzeczy, bo to nam jedyne zostało. Od czasu do czasu widywałam się z koleżankami i czytywałam listy od Stefci, która była już od października w Warszawie. „Atrakcją" były prawie codzienne ofiary Petera i jego kolegów, zabite na placu obok cmentarza. Najwięcej nas poruszył fakt zastrzelenia Gutka Goldwassera z żoną i dzieckiem, którzy padli ofiarą przez Polaka ich dobrego znajomego. Te sceny nam psuły humor tylko na krótko, później znów przy kartach lub restauracjach staraliśmy się w sobie to zagłuszyć. Ale już po II-gim wysiedleniu zaczęto szeptać o skoszarowaniu, tzn. wiedziano, że placówka Zakładów i najwyżej również Jegera zostaną skoszarowane na placu fabrycznym, co groziło wymarciem z głodu, chorób i ciężkiej pracy. Więc kto mógł szukał sobie wyjścia.

Zgłosił się jakiś Polak, który zorganizował bandę, która w przyszłości miała się złączyć z normalną armią dywersyjną Polski. Chłopcy się chętnie do tej bandy zgłaszali. Między nimi był nasz bratanek, Dudek Grojskop, Szl. Cwajgman, I. Keinig i inni. Jakiś szwajcar z Kunowa do nich przyjeżdżał, przywoził biuletyny itp. pisma. Nareszcie grupa ta wyjechała w okolicę Kunowa i dwa miesiące zimowe do 12 lutego spędzili w lesie. W tym dniu do ich lochu zgłosili się przedstawiciele armii, kazali sobie broń pokazać i powiedzieli, że teraz wyruszają do tej głównej armii. Ale był to tylko pretekst, na jaki mogli się zdobyć tylko Polacy, gdy chłopcy broń odłożyli, wszystkich zastrzelono. Ranni wrócili Nasielski[?] i Szl. Cwajgman, którzy nam ten cały przebieg opowiedzieli. A tak często się o to ze Szlomkiem kłóciłam, bo ja w to wszystko nie wierzyłam, czytując ich biuletyny, by werbować ludzi z forsą, jak najwięcej forsy. Wykosztowali się chłopcy porządnie, Heniek lwią część pokrywał jeszcze posyłając bogate wałówki żywnościowe. I dziwię się, przecież tam byli mądrzy chłopcy i się nie poznali na tej fałszywej grze; jeszcze wierzyli, że to major przyjeżdża do nich z Anglii aeroplanem

na odczyty, czy tam podobne rzeczy. Od tego tragicznego dnia Heniek się zaczął systematycznie codziennie upijać. Zwykle takie pijaństwo kończyło się płaczem, jak u wszystkich zresztą. M. Zyngier miał zwyczaj po pijanemu tarzać się po ziemi i w płaczu wspominać swoich najbliższych. Estera była razem z nami, spała na I piętrze, bo tam sprzątała, jako członkini kuchni policyjnej. Do Bajgielmanów, naszych współlokatorów przychodzili dosyć często Leon i Marta; Eścia wpadła im w oko jako twarz polska i za ich protekcją pojechała do Warszawy dostając tam miejsce służącej u Persów. Kosztowało to 10 000, które wziął Antek Siedlecki za ulokowanie, a za wskazanie Antka Leon (wyrabiał dowody lipne) też otrzymał swoje wynagrodzenie. List od niej otrzymaliśmy bardzo dobry, więc widoczne było, że do Antka można mieć zaufanie. Heniek zaczął nalegać, by Leon się i dla mnie wystarał o taką pracę. Przede wszystkiem zrobił mi drugi dowód Ostrowiecki, skopiowaliśmy dane od jednej panienki, która przynosiła boczek do sprzedania do nas. Heniek z nią zeszedł zważyć, ona zostawiła torebkę, a ja z Leonem Hercykiem spisaliśmy wszystkie dane z jej dowodu. Zanim mój wyjazd do Warszawy był naprawdę aktualny, jeszcze przeżyłam radość zmieszaną z zazdrością. Było to, gdy do getta przyszło 100 depesz z Palestyny od Ostrowczyków, między tymi wiele od ludzi, którzy w swoim czasie uciekli do Rosji. Większa ilość depesz przyszła do rodzin, które już dawno zostały spalone w Treblinkach.

25 lutego mówili, że następnego dnia nastąpi skoszarowanie. Zabrał mnie na noc kolega szkolny Heńka, Marian Krycia. Z początku nie chciałam iść, ale gdy Heniek powiedział, że przeze mnie i on wpadnie, już się nie opierałam. Skończyło się wtedy na samym strachu. Rano w piątek Heniek po mnie przyszedł do Mariana i wracając razem zaczepili nas dwaj żandarmmeryści, żądając przepustki (Heniek miał), a w mojej brązowej torbie znaleźli czarną wełnę na sukienkę. Nie zabrali tego, puścili nas. Mieliśmy wtedy ogromne szczęście, bo ja w swojej skórkowej torebce miałam cały nasz majątek na wierzchu. Tego dnia wieczorem już miałam napewno wyjechać. Renia Niskier już od kilku dni była w Warszawie, Stefcia po nią pisała. Kto mógł, wiał. Tego dnia jedliśmy jeszcze pożegnalny obiad u Wajnworzlów, smak kotletów jeszcze teraz czuję w ustach, i wieczorem w towarzystwie Mariana wyjechałam do Warszawy. Przed samym wyjazdem z getta otrzymałam telegram od Szajńci „przyjedź na ślub". Uważałam to za dobry znak, że naprawdę powinnam wyjechać. W sobotę o 1 p.p. już byłam u Antka i zdążyłam zapoznać jego kolegę Heńka, niby to oficera. Po południu widziałam się ze Stefą i chciała dla mnie wszystko zrobić. Ja jednak zostałam wciągnięta przez Antka, już mi kazał zdjęcie sobie zrobić na prawdziwy dowód. W niedzielę się widziałam z Jasią, która mi opowiedziała, że jest jej bardzo dobrze. Antkowie jej dużo serca wykazali i są naprawdę porządni ludzie. Ja jednak nie czułam się u nich dobrze. Zapoznałam Staśka Paskuda, jednego doktora też Żyda, Irkę z Janeczkiem, Genię i Lodę z małą Marysią, a ich zachowanie się i leksykon mnie strasznie raziły. Żałowałam bardzo, że się [dałam] namówić do wyjazdu, tem bardziej, że czas leciał, a dla mnie nic nie robili, odkładając z dnia na dzień. Po tygodniu przeniosłam się do Lody, bo Marycha, sublokatorka Antków, została uwięziona w Sandomierzu za wdawanie się z siostrą Paskuda. Antek się bał, że i on zostanie w to wciągnięty, więc przede wszystkim mnie dał do Lody, a sam wyjechał do Ostrowca. Pożyczyłam mu trochę pieniędzy, a Bronek, „mąż" Lody mnie zapewniał, że Antkowi można wszystko oddać i nie bać

się, bo jest bardzo rzetelny. Cały tydzień byłam tam wśród samych kotów[4]: Bronek, Leon, Zygmunt, Irka. Przychodzili tam różni ludzie nawet z getta, wszystko mówiło o potrzebie uzbrojenia się, robili coś w tym kierunku. Wśród tych przybyłych z getta, najwięcej zwróciłam uwagę na doktora-adwokata (i ile się nie mylę, Szyfrys), który swą urodą, śliczną wymową był bardzo interesujący i przyszedł na tą stronę, by się skomunikować z polską partią w sprawie dostarczenia ludzi do lasu i też by artykuły z getta umieszczano w ich gazetce. Czy z tego coś wynikło, prawdopodobnie nie, bo już wkrótce była tam straszna rzeź.

Gdy wróciłam z powrotem do Antka, zauważyłam, ale dopiero po dwóch dniach, brak 100 dolarów z palta. Nie wiem, czy to u Bronka mi zrobili, czy też u Antka. Antek już był wrócił z Ost[owca], przyniósł mi trochę bielizny i 120 dolarów, z których mi dał tylko 80, bo Heniek mu pozwolił sobie pożyczyć 40. Było to kłamstwem, tak samo, jak to, że wełnę, którą mu Heniek dla mnie dał, mu zabrali w pociągu. Opowiedział mi, że tam się lada dzień spodziewają wysiedlenia i każdy pragnie przyjechać do Warszawy. Od Heńka otrzymywałam bardzo pesymistyczne listy, pełne rezygnacji i postanowiłam za wszelką cenę go tu sprowadzić, zwłaszcza że ja strasznie tęskniłam i wiedziałam, że nie potrafię długo bez niego żyć. Zresztą ludzie, którzy tam przychodzili też mówili, że przeżyć można tylko w Warszawie, ale trzeba mieć najmniej 100 tys. złotych.

Niespodzianie we wtorek rano 23 marca przyjechała Marta z wiadomością, że w Ostr[owcu] grunt się pali pod nogami i trzeba za wszelką cenę auto wysłać po nich. Po różnych pertraktacjach z Antkiem, Heńkiem i nowym znajomym Stachem auto pojechało. W czwartek wieczór przyjechał Heniek, pani Judkiewiczowa z córeczką, a reszta, którzy tak się auta domagali, Najman, Lipszyc, Hania i Leon, bali się ryzykować i zostali. Byłam uszczęśliwiona, gdy zobaczyłam mojego chłopca zdrowego i całego, bo przecież ja wzięłam na siebie taką odpowiedzialność, każąc Mu bezzwłocznie przyjechać. Byłam pewna, że teraz już napewno wojnę przeżyjemy, bo tu w Warszawie za pieniądze można wszystko zrobić, a pieniądze mamy. Jeszcze mnie w tym upewniło przeżycie Heńka w drodze, podczas którego życie jego wisiało na włosku, a jednak zakończyło się dobrze, to widocznie przeznaczone przeżyć. Przed Radomiem żandarmeria zatrzymała auto, pytając, czy tam czasem Żydów nie ma. Prosto do Heńka i się spytali, czy jest Żydem. On oczywiście zaprzeczył i pokazał im na ich żądanie dowód i wypytali go o szczegóły, jak się nazywa, gdzie mieszka itp. Przypadkowo Heniek znał wszystkie dane swojego nazwiska i dokładnie odpowiadał, a w myśli już patrzał na lasek, w którym będzie pogrzebany.

Teraz się zaczął okres naszych wspólnych przeżyć, dzięki którym mieliśmy możność poznać naszych rzekomych „przyjaciół", Antek, Stach, Hanka i inni. Całą podłość Polaków i ich wykorzystywanie na każdym kroku Żydów. Gdyby nie oni, dużo by się mogło uratować, oni byli przeszkodą na każdym kroku. Jeżeli nie wskazali Niemcom, to zabierali sami wszystko, a Żyd stał bez możności dalszego ratowania się, bo bez pieniędzy nikt go nie chciał przez próg puścić.

---

[4] „Kotami" nazywano w gwarze okupacyjnej ukrywających się Żydów. Wzięło się to stąd, że rzekomo każdy z nich opowiadał, jak „przedtem" był bogaty i czego to on nie miał. Od tego, co kiedyś „miał, miał", powstało to slangowe określenie.

Byliśmy więc u Antka. Piątek i sobotę spędziliśmy dość spokojnie. Antek przyrzekł nam dać mety, zapewniając, że u niego nam się nic złego stać nie może. Heniek dołożył honorowo do auta 5 tysięcy zł, więc razem kosztowało go 15 tys. W sobotę rano powiększyło się grono kotów, bo przyjechał pociągiem Marian Bajgelman. Wieczorem tego dnia mocno nas zaniepokoiło silne dobijanie się do drzwi. Z nami w domu była tylko Antkowa z dzieckiem. Po może 15-minutowym pukaniu otworzyła im. Byli to „agenci", którzy rzekomo przyszli szukać broń, bo Antek tym handlował. Myśmy „przypadkowo" wpadli i trudno, ich obowiązkiem jest nas zabrać, zresztą „żandarmeria już nadjeżdża". Byliśmy pewni, że to wszystko prawda i błagaliśmy o litość. Był to pierwszy nasz szmalec i nie mieliśmy jeszcze doświadczenia, byliśmy naprawdę pewni, że już teraz idziemy na śmierć. Prosiłam tylko Heńka o przebaczenie, że go tu sprowadziłam, a on mówił, że było przeznaczone, byśmy razem zginęli. [W] międzyczasie Marta, która była najwięcej z nas opanowana, pertraktowała z nimi i w końcu po otrzymaniu 20 tysięcy zł i pierścionek Heńka [jako] dobrowolny podarunek, poszli z rozkazem, by za pół godz[iny] już nas tu nie było. Jeden sobie zapisał właściwy adres Heńka, żebyśmy mu się po wojnie zrewanżowali, że nas zostawił przy życiu. Może 15 min[ut] po ich wyjściu, gdyśmy stali oszołomieni i nie mając dokąd się udać, zjawili się nasi „wybawcy" Heniek oficer i Stach. „Byli przerażeni tym, co usłyszeli i muszą nas oczywiście wyratować". Heniek oficer zabrał p. Judkiewiczową z córką, Marian B. poszedł sam gdzieś, a my z Martą poszliśmy za Stachem. Gdyśmy przyszli do niego do domu, żona była przerażona tą „niespodzianką" i odeszła na noc, bojąc się być pod jednym dachem z Żydami. Rano wróciła już udobruchana i zdawała nam się być bardzo miła. Po południu przyszedł nasz przyszły gospodarz p. Liwiński i zgodziliśmy się u niego zamieszkać za 2500 zł miesięcznie od osoby; za swoje pośrednictwo Stach otrzymał 3000 zł. Stach nas bardzo ładnie ugościł nawet porządnym obiadem. Wieczorem niespodzianie przyjechał Leon, przyszedł również kolega Stacha Beniek. Ten nas zapewniał, że trafiliśmy na właściwe miejsce, bo Stach jest bardzo uczciwy, człowiek jak on daje metę to jest gwarantowaną. My szczęśliwi, że trafiliśmy do takiego Anioła, poszliśmy wieczorem wraz z p. Więckiewicz do Liwińskich. Oczywiście zrobiliśmy libację, która trwała do północy i zmęczeni wrażeniami położyliśmy się spać do naszych nowych łóżek w pięknym słonecznym pokoju, który był do naszej dyspozycji. Do 26 maja pamiętnej środy spędziliśmy tam dosyć dobrze, to zn[aczy] bez strachu dużo razy się nie obeszło. Był to okres likwidacji getta warszawskiego. Całymi dniami i nocami bomby, strzelanina i łuny palonych domów. Codziennie mieliśmy wiadomości z tego pola walki; o bohaterstwie naszych kobiet, które strzelały z karabinów maszynowych, rzucały granaty. Odbywały się tam tragiczne wypadki, między innemi był fakt, gdy rodzice rzucali z balkonu swoje dzieci, a później siebie. Tragedia w getcie zaczęła się [w] erew Pesach, który wypadł wtedy 16 kwietnia (nie wiem, czy dokładnie[5]).

Myśmy sobie na święta upiekli pod komendą Leona macki. Były to naprawdę tragiczne święta, przeplatane łzami na wspomnienie, jak to było w domu. W drugie dnie świąt, które wypadły razem ze świętami katolickiemi, urządziliśmy przyjęcie dla p. Więck[iewicz], którzy nas często odwiedzali i zdawali się być prawdziwymi przyjaciółmi.

[5] Niedokładnie. Walki w getcie wybuchły 19 kwietnia 1943 roku.

Przyjęcie było bardzo eleganckie: bułeczki własnego wypieku, kiełbasa, wódka, ryba po żydowsku itd. Tym razem sobie pozwoliliśmy, ale cały czas bardzo skromnie, nawet biednie żyliśmy. Podczas tej uczty mieliśmy trochę strachu, bo z placówki żyd[owskiej], która była obok, uciekło kilku i żandarmeria ich szukała. Drugiego dnia było gorzej, bo chodzili po domach szukać, nas ominęli, a myśmy cały czas siedzieli w skrytce, modląc się, jak kto mógł.

Ważnym zdarzeniem był nalot z nocy 12 maja na 13. My oczywiście do schronu nie zeszliśmy, również gospodarz nie zeszedł i cały czas się trzymałam Heńka, który był bardzo spokojny i mnie również uspokajał. Liwińscy przez cały czas pobytu u nich okazali nam dużo serca i my również im się odwzajemnialiśmy. Ich syn Filutek chodził często do Antka po odbiór rzeczy dla Marty i również dla mnie po odbiór pieniędzy – dług wynosił około 20 000 zł. W międzyczasie została porządnie wyszmalcowana pani Judkiewicz, której pożyczyliśmy 20 miękkich, ona je zwróciła Antkowi w Ostrowcu, bo wróciła na żądanie męża, zostawiając dziecko na tej mecie, gdzie była na ostatku. Również za pierwszy szmalec u Antka była nam winna 4000 zł i też oddala Antkowi, a myśmy nic nie otrzymali. W końcu Filutek już w ogóle się nie mógł do niego dostać, bo było zamknięte, okazało się, że wyjechał na skutek zastrzelenia Bronka i jego rodziny, który podobno miał mieć dowód Antka. Stach, jak już wspomniałam, często do nas przychodził i przynosił wiadomości z getta Warszawy i też polityczne; zapewniał, że tu wojnę przeżyjemy. Dla spokoju i zmylenia śladów kazał jednak Antkowi napisać, że zmieniliśmy metę, bo znowu mieliśmy szmalec. „Po tym", dodał, to możecie siedzieć spokojnie, nic się wam nie stanie, bo nawet Heniek oficer wie, że was już też nie ma. Muszę jeszcze dodać, że Heniek nas zatem na początku odwiedził, na skutek interwencji Leona, który chciał mieć za lataninę do Antka. Najlepszy charakter z całej rodziny miał ten chłopak. Sypiał u dziadka na Chmielnej, do nas przychodził tylko na niedzielę. Raz po pijanemu się wygadał, że na strychu u dziadka jest schowany jego kolega Abramek, że nie może nastarczyć z żarciem dla niego, bierze z domu niby to dla dziadka i daje jemu i t[akie] rzeczy. Mieliśmy zamiar coś dla tego Abramka zrobić, ale plany się pokrzyżowały. Jeszcze w pierwszych dniach naszego pobytu u Liwińskich będąc u Antka po dług, spotkałam tam Genię Lipszyc, której podałam adres Stacha, bo chciała dla Najmana, Hani i męża swego metę. Stach z nią jeździł mety oglądać, ale żadna jej się nie podobała i przestała do niego przychodzić. Aż tu nagle Stach przychodzi z listem od nich, że wszyscy są u Stacha, wyszmalcowano ich i proszą o pożyczkę. Heniek oczywiście zaraz dał 1000 złotych. Drugiego dnia Stach po mnie przyszedł, że Hania się chce koniecznie ze mną zobaczyć. Nie chciałam pójść i gospodyni nie pozwoliła, trzymając się swojej tezy: że kto wyjdzie, nie ma powrotu.

Następnego dnia po tym fakcie 26 maja o 11 rano, gdyśmy jeszcze leżeli w łóżkach, przyszli dwaj szmalcownicy, zabrali nam 15 tysięcy zł i złoty zegarek Heńka. Po godzinie wrócili z oznajmieniem, że jest ich pięciu, za mało dostali, bo ten który do nas przysłał, liczy nas, a szczególnie Leona, na miliony. Kazał sobie dołożyć towaru lub walutę, brylant – Leon zaczął z nimi pertraktować, by przychodzili co miesiąc po stałą pensję, zgodzili się, ale i teraz muszą jeszcze coś dostać. W końcu gdyśmy nie chcieli nic dać, zaczął szukać i znalazł pod nićmi moje 80 dolarów, 1-go twardego, mój zwykły zegarek, szpilkę tańczącą i następnie bieliznę i sukienki nasze i Leona i to wszystko so-

bie zapakowali w walizki i poszli zapewniając, że teraz możemy spokojnie siedzieć, nic nam się więcej nie stanie.

Gdy zaalarmowany przez nas Stach przyszedł, okazało się, że zna tych szubrawców „są to ludzie Heńka". „Taki skurwysyn będzie moje mety psuł?" Kazał sobie dać dokładany spis rzeczy i z gospodarzami poszedł do domu Heńka, by się upewnić, że więcej nam spokoju nie zakłócą. Towarzystwo u Heńka oblewali ten rabunek, gospodarze za drzwiami słyszeli, jak Stach się złościł, nic zwrócić nie chcieli, ale przyrzekli, że możemy być spokojni, bo się to więcej nie powtórzy, Stach się umówił z Heńkiem żeby się stawił drugiego dnia na umówionym miejscu, bo chce przeprowadzić konfrontacje z gospodarzami, bo oni są bardzo niespokojni i chcą usłyszeć z ust Heńka, że już będzie spokój. Heniek się nie stawił, wobec tego Stach z Liwińskim się umówili sprzątnąć tych ludzi. Stach się pytał, jaki talizman ma nam przynieść, na co Leon odpowiedział: wąsiki, a Stach powiedział ucho. „Które ucho chcesz Leon, lewe czy prawe?" My naiwni wierzyliśmy w to i baliśmy się konsekwencji, ale dobrze nam utkwiły w pamięci słowa jednego ze szmalowników: „wy jeszcze nie możecie umrzeć, bo trzeba wpierw wszystko od was wyciągnąć". Stale nam dokuczał takimi powiedzonkami, że myśmy majątek zrobili na nich, teraz jest ich czas i muszą nam wszystko z powrotem odebrać. Ja mu też nie zostałam dłużna, bo bolało mnie jego uderzenie w twarz Heńka, powiedziałam mu, że jeszcze on może być w naszym położeniu i ktoś za nas na pewno sobie krzywdę odbierze. Z konfrontacyj, talizmanów, improwizacji itp. rzeczy były nici, i w pierwszych dniach czerwca nasze wąsiki znowu przyszły. Żądał stałej miesięcznej pensji 6 tys. zł. Narzekał, że się oszukał, bo za zegar dostał tylko 2500 zł, a szpilka była wysadzana szkiełkami, a nie brylantami, jak on myślał. Przyrzekliśmy mu miesięcznie 3000 zł, na co się oburzył, że nie może, to za mało, jest ich 5-ciu wspólników. W końcu poszedł i kazał przyszykować 6000 zł i jak on przyjdzie za kilka dni, pieniądze już mają leżeć na stole. Zaczęliśmy więc kombinować, by metę zmienić. Przyszedł pan Maciak, gospodarz Wilka z matką, którzy już też zdążyli przez ten czas przyjechać i ulokować się dzięki Stachowi właśnie u tego pana Maciaka, który był szwagrem jego. Przyrzekł on nam metę, ale za kilka dni dopiero, również pan Liwiński się starał, aż tu niespodzianie w niedzielę 6 czerwca popołudniu przyszli państwo Więck[iewiczowie] z nową figurą panem Przeździeckim. Po jego mowie, ruchach i wyglądzie poznaliśmy, że to Żyd. Okazało się, że jest przechrztą, przed wojną był w policji polskiej, a pseudonim ma „Gatuś".

Dostaliśmy metę u jego szwagierki na Grochowie ul. Paca 8. Nowi gospodarze państwo Chmielewscy dostali 4000 zł za naszą czwórkę, a 6 tys. wzięli pośrednicy Stach i „Gatuś". Byliśmy tam tylko 1-den miesiąc, ale obfity w niespodzianki. Przede wszystkim 9-go czerwca miałam skrobankę, za którą Stachowa wraz z drugą akuszerką wzięły 1000 zł. Było nam bardzo przykro się pozbyć naszego dziecka, którego tak pragnęliśmy, ale nie wolno nam było. Wprawdzie Liwińska i Stachowa mówiły, że wojna się szybciej skończy niż 9 miesięcy, ale my na to zważać nie mogliśmy.

Drugim bardzo ważnym wydarzeniem miał być wyjazd Leona i Marty do Niemiec. Mieli to przeprowadzić też Stach i Gatuś, pierwszą połowę 10 000 już wzięli i co kilka dni przychodzili z nowinami, że się robi „pojadą za 3 dni, za tydzień, w piątek, w poniedziałek" i tak zwodzili. Tymczasem Stach nam przyniósł lwią część rzeczy

od Liw[ińskich], ale twierdził, że niechętnie oddała, i wprost od niej wymusił. Ja więc za tydzień poszłam po jeszcze trochę rzeczy, zwłaszcza po bieliznę, którą nam uprała, dałam jej za to 100 zł. Marian wtedy u nich był i udawała, że mi wszystko chce dać, ja jedynie wzięłam tyle, ile mi weszło do torby brązowej. Marian mnie prosił o nasz adres, a ja głupia nie chciałam mu dać, bojąc się, by on nie dał go Liwińskim, a widziałam, że jej na tym bardzo zależy, bo gdy tylko przyszłam, od razu powiedziała: „teraz mi pani musi dać adres". Opowiedziała mi, że wie już na pewno, że Stach był tym, który nasłał (oni to od pierwszej chwili twierdzili, a myśmy nie chcieli wierzyć), bo wąsiki przychodzą do niej, chcą jej dać jakiegoś milionera, żeby go później obrobić i on ją wtajemniczył, że się pokłócili ze Stachem o tego twardego, do którego „wąsiki" się nie przyznają.

Nastraszyła mnie porządnie, mówiąc, że jesteśmy w szajce i kto wie, czy wyjdziemy od nich z życiem. Dała projekt, by nas podstępem wyratować stamtąd na pobliską metę. Przyrzekłam jej dać listowną odpowiedź po naradzie z Heńkiem, Leonem i Martą. Dowiedziałam się również, że Najman, Hania i Lipszyc zostali już znowu wyszmalcowani. Hania tu nocowała jedną noc i wyjechała nie wiadomo gdzie. Z ciężkim sercem wróciłam na Grochów. Opowiedziałam im wszystko i wtedy już byliśmy przekonani, że to jednak Stach zawinił.

Żywność na Paca była znacznie tańsza, bo gospodyni przy zakupach nie zarabiała, natomiast Liwińska zdzierała z nas skórę. Za to było tam gorzej, bo dużo ludzi przychodziło i musieliśmy się bardzo cicho zachowywać, w czasie gdy na Hrubieszowskiej jedynie Misiek-Włoch przychodził raz na tydzień, lub Więckiewiczowie, których poznaliśmy po trzykrotnym pukaniu.

Czas leciał, a sprawa Leona i Marty jeszcze nie była do zrealizowania. Tymczasem Marta zakupiła całą wyprawę na ten wyjazd, z czego Heniek był bardzo niezadowolony, twierdząc, że jeszcze żaden robotnik nie zabrał takiego bagażu jak oni. Sam gospodarz, pan Czesław się śmiał z nich, twierdząc, że jeszcze to wszystko sprzedadzą, bo nie pojadą. Nie miał zaufania do swego szwagra twierdząc, że to „glina" i jako taki [zdolny] do wszystkiego, nawet do najgorszych rzeczy. Uprzedził nas, że więcej jak miesiąc nie może nas trzymać, bo ma za ciasne pomieszczenie i lokatorzy się domyślą. Przychodziła tam często jakaś p. Janina, której mąż został przez naszego gospodarza ulokowany, ale wszystkie ważne dokumenty miał u Czesława. Ta pani podobno przychodziła po to, by namówić Czesława, by zabrał do siebie jej męża. Wywnioskowaliśmy z tego, że można do Czesława mieć zaufanie i prosiliśmy go, by się wystarał dla Heńka o metę. Miał już [dla mnie] na widoku bardzo dobre miejsce jako służąca i również dla Heńka już było coś uplanowane. Całymi dniami byliśmy zajęci robieniem papierosów szyciem i sprzątaniem. Wiedzieliśmy, że dostali tylko 4000 zł, a wydawali się nam bardzo poczciwi, więc w miarę możności staraliśmy się im pomóc. Tam też była dobra skrytka pod wieszakiem, wnęka w ścianie, skorzystaliśmy z niej tylko raz, gdy żandarmeria zajechała pod pobliski dom.

A tymczasem czas schodził, Leon już prawie całą sumę wpłacił na ten wyjazd, a wyjazdu jak nie ma, tak nie ma. Wysłał więc pewnego wieczoru Martę do Stacha i Gatusia, by nareszcie powiedzieli jasno, czy jeszcze coś z tego będzie. Przenocowała tam i rano podczas jej nieobecności 2 lipca w piątek przebudzili nas żandarm i policjant

z rewolwerami. Ja się tak bardzo nie przeraziłam i nawet powiedziałam „dzięki Bogu, koniec". Tym razem wiedzieliśmy, że to nie szmalec żaden, ale śmierć. Nie było tak jednak, był to nowy rodzaj szmalcu, tym razem nas dosłownie ogołocili, zostaliśmy w jednych koszulach, jednym słowem, w tym, co na sobie mieliśmy, nawet pończoch mnie nie zostawili. Zabrali nam wszystkie pierścionki, papierośnicę, 30 dol. 300 zł i 1 twardy. Leonowi zabrali cały bagaż zakupiony do Niemiec jak również paczkę, którą miał tam wysłać, a gospodarz na razie odradzał. Leon zupełnie był nieprzytomny (twierdził, że udawał) i cały się trząsł i płakał, nie ruszając się z miejsca i nie dawając żadnych odpowiedzi na pytania. Przed wyjściem powiedzieli nam, że przyjdą tu o 8 i wtedy już mają nas tu nie zastać. Cieszyłam się, że przynajmniej płaszcz Heńka został, bo wisiał w przedpokoju. Heniek go stale pożyczał gospodarzowi. Ale jakież było nasze rozczarowanie, gdy na wieszaku już płaszcza nie było, a wiedzieliśmy, że oni go nie zabrali. Zrozumieliśmy wtedy, że i nasz pan Czesław maczał w tym palce. Przypomnieliśmy sobie, że poprzedniego dnia wieczorem kazał Leonowi wyjąć rzeczy ze skrytki, twierdząc, że miejsce to musi być wolne dla nas do schowania w razie niebezpieczeństwa. Zresztą ich zachowanie się upewniło nas w tym podejrzeniu: nie byli wcale przerażeni, nie bali się, nie kazali się od razu wynieść, a gospodyni podczas zajścia się szminkowała i czesała, jakby już była do takich scen przyzwyczajona. Wzięliśmy dziecko ich na spytki i dowiedzieliśmy się, że już tu była jedna pani z dzieckiem, żandarm przyszedł i strasznie rozpaczała i uciekła. Charakterystyczne, że i Heńkowi kazali uciec podczas tej akcji i chcieli mu nawet drzwi otworzyć.

Zapomniałam jeszcze dodać, że żandarm każdego z osobna rewidował: mnie do naga rozebrał. Leona macał, ale dwóch pierścionków z brylantami w skarpetce nie wymacał. A Heniek zdążył w ubikacji schować 100 dol.

Gdy Marta wróciła po poł[udniu] ze Stachem, nie chciała wierzyć, że coś takiego się stało. Jedno nas przekonała, że Stach jest niewinny i tym razem i tamtym. Nocowała u niego i żona się na wszystkie świętości przysięgała, że Stach dużo cierpi przez to, że my go podejrzewamy o poprzedni szmalec, on jest niewinny i prawda się po wojnie wykaże. Słusznie ją Leon nazwał „cydajkis", bo bez Boga i św. Antoniego to ani rusz.

Z piątku na sobotę jeszcze tam przenocowaliśmy, właściwie tylko leżeliśmy, bo kto mógł spać? Jeszcze późnym wieczorem gospodarza nie było, a gdy go z daleka zobaczyłam powracającego, zdawało mi się, że to ten sam żandarm idzie sprawdzić, czy jeszcze tu jesteśmy, narobiłam trochę strachu, że aż Leon chciał przez okno wyskoczyć. Gospodarz wrócił porządnie pijany, widocznie oblewali ten obfity połów. Drugiego dnia, w sobotę rano Marta pojechała ze Stachem do jego domu. Stach miał jeszcze wrócić do Leona, a ja z Heńkiem mieliśmy pójść na metę Chmielewskiego. Niespodzianie po południu wrócił Stach i kazał nam wszystkim się przyszykować, bo Leona zabiera do siebie, a mnie z Heńkiem autem za 3 tys. złotych na nową metę, na której poprzednio już byli Żydzi warszawscy, ale oni poszli do hotelu na Długą[6]. Była wtedy

[6] Chodzi o Hotel Polski, w którym gromadzono Żydów – obywateli obcych państw, przeznaczonych do wymiany na obywateli niemieckich internowanych w państwach wrogich III Rzeszy. O całej historii szczegółowo pisze Agnieszka Haska w książce *„Jestem Żydem, chcę wejść". Hotel Polski w Warszawie, 1943*, Warszawa 2006.

aktualna niby wymiana ludności żyd[owskiej]. Żydzi sami się zgłaszali do tego hotelu na wymianę. Mieli pojechać na granicę szwajcarsko-niemiecką i gdzie ich miano wymienić. Prawdopodobnie poszli do Treblinek, podobno prezes Rubinsztajn z żoną też tam poszli. Akcję tą prowadził Żyd Stefan Rejzner, który miał służyć w „gestapo". Żydzi podobno płacili po 100 000 od łebka, żeby ich przyjąć, myśmy też mieli chęć, ale na tyle pieniędzy nie mieliśmy, stać było na to tylko „rekinów", jak Stach mówił.

Heniek się przebrał za tramwajarza i pojechaliśmy autem, oczekiwał nas na drodze nasz nowy gospodarz pan Piskorski, którego siwe włosy budziły zaufanie, tem bardziej, że wiedzieliśmy, iż pani Judkiewicz tam córeczkę zostawiła, a gdyby nie przekonała się, że to porządni ludzie, toby tego nie zrobiła. Dostaliśmy pokoik na piętrze, wprawdzie bardzo prymitywny, ale świeże powietrze, które wchodziło przez okno z lasu było milsze niż wygody warszawskie, których już mieliśmy dosyć. Ale zaraz w piątek mieliśmy znowu przygodę. Otóż grając w karty z Heńkiem, nagle przyszła córka państwa Piskorskich, Henia i mówi „schowajcie się". Nie zdążyliśmy nawet zamknąć w skrytce, a już słyszymy ciężkie kroki żołnierskie na schodach. Tym razem było ich 4, 1 umundurowany. Byliśmy pewni, że nareszcie kończy się nasze męczeńskie życie, słyszeliśmy rozmowę niemiecką, widzimy przez szpary, jak szukają wszędzie, przyświecają sobie latarką, a my nie zamknięci. Ale widocznie nie przeznaczone nam było jeszcze umrzeć, świecili i do nas latarką, a nie zauważyli, to był istny cud. Całą noc padał deszcz, a myśmy w skrytce siedzieli przytuleni do siebie, nie poruszając się nawet (z nami była Tereska, córka p. Judkiewicz), bo dwaj pozostali na noc. Raniuteńko odeszli razem z gospodarzem, który poszedł do pracy. Zmęczeni, złamani fizycznie i duchowo wyszliśmy z naszego schronu myśląc, kto tym razem nasłał. Dowiedzieliśmy się, że o nas tym razem nie chodziło, ale o naszych poprzedników p.p. Bader i o Tereskę, o której wiedzieli dokładnie ile matka za nią zapłaciła i w ogóle wszystkie szczegóły. Gdy poprosiłam o moją torebkę, którą p.p. Piskorscy zabrali, okazało się, że brakuje złoty zegarek mamy i 215 zł. Państwo Piskorscy mówili, że to oni zabrali przy rewizji i im z pod poduszki 2000 zł, ale myśmy wiedzieli, że to kłamstwo, bo gdyby byli torebkę przeszukali, toby tam znaleźli moje 2 dowody i tego by płazem nie przepuścili, bo gdzie ta osoba się ulotniła, a każde z dzieci osobno legitymowali. Musieliśmy udawać, że im wierzymy. Znowu podejrzenie padło na Stacha, bo kto o wszystkiem wiedział dokładnie i kto tu dał Baderów i Tereskę?

Gospodarz nam powiedział, że Stach jest głównym szmalcownikiem, że wszystkich szmalcowników można u niego w domu zastać, że jego też chcieli wciągnąć, ale on „na takie numery nie chodzi". Gdy Stach przyszedł w niedzielę, bo on tu miał w pobliżu mieszkanie letnie, opowiedzieliśmy mu o tym zajściu i że my w lesie byliśmy przez całą noc. Był wprost przerażony i ona też „i to nikt inny nie zrobił tylko Gatuś", który dokładnie o wszystkim wiedział. Mieli do niego zaufanie, bo to przechrzta i zawsze się Żydami tak „interesował". Postanowili gospodarz ze Stachem go sprzątnąć, bo gospodarzowi to żadnej trudności nie sprawia, on już lepsze numery przeprowadza itd. Później Stach jednak radził posłać tylko list ostrzegawczy. Według naszego gospodarza, bał się, bo i on był wmieszany w różnego rodzaju świństwa razem z Gatusiem. My wiedzieliśmy od razu, że z tego nic nie będzie, bo już znaliśmy ich trochę i wiedzieliśmy, że w domu to wszyscy są silni i zuchy, ale naprawdę coś zrobić, o do tego to z daleka są.

Po tym wszystkim prawie 2 tyg[odnie] spaliśmy we trójkę na sianie w schronie, aż gdy zaczęło nas gryźć ze wszystkich stron pchły i mrówki z siana.

W drugi poniedziałek po naszym tu pobycie [przybyciu] poszłam razem z państwem Więckiewicz do miasta, by odebrać resztę rzeczy od Liwińskich i zobaczyć się z Leonem i Martą, którzy mieszkali jeszcze u Stacha, czekając na przyrzeczony wyjazd do Niemiec. Gdy ich zobaczyłam, a szczególnie Leona nie poznałam ich. Całą tragedię można było wyczytać z ich twarzy, nic dziwnego, wykosztowali się porządnie, a Przeździecki się nie pokazywał. I tu mogę przyznać, że gdy później (17 lipca zdaje się) wyjechali, było to wyłączną zasługą Stacha, który kilka razy dziennie chodził do Arbeitsamtu dowiadywać się kiedy odchodzi transport, aż w końcu załatwił to. Oczywiście nie zrobił tego na ładne oczy, bo za 2-tygodniowy ich pobyt u siebie wziął 2 tys. zł, a na samym wyjeździe też dużo zarobił. Prócz tego Leon go stale nabierał, że jak jego przejazd się uda, to pół Ostrowca wyjedzie i wtedy Stach zarobi. Ale odbiegłam od kolejności. – Więc gdy w ten poniedziałek poszłam do Liwińskich po odbiór rzeczy, ona powiedziała, że już wszystko oddała chłopakowi, który przyszedł od Stacha z listem od Heńka. Wiedziałam, że to kłamstwo, ale cóż mogłam robić, jak ja nie mam prawa żyć i jedno jej skinienie na żandarma mogło mnie pozbawić życia. Przekonałam się tedy, że naprawdę nie ma ani jednego porządnego Polaka, że każdy z nich utopiłby Żyda w łyżce wody. Ta wredna baba dostawała od nas 10 000 miesięcznie. Marta pożyczyła Jadzi sukienki, jak się mogło, to się pomagało i po wyjeździe od nich dostali honorowo 1000 zł i postanowiliśmy od czasu do czasu im pomóc, bo byliśmy przekonani, że oni są naprawdę oddani. Znowu mnie porządnie nastraszyła, że żywi z rąk Stacha nie wyjdziemy, że Leon i Marta zamiast do Niemiec wyjadą do ziemi. Mieliśmy więc znowu stratę, koc, kurtka Heńka, moje wysokie buty i trochę bielizny. I tak kto mógł, darł z nas skórę, a my musieliśmy milczeć i łudzić się, że może przyjdzie czas zemsty.

A tymczasem trzeba było myśleć o tym, by przekonać Stacha i gospodarza, że teraz już naprawdę nic nie mamy ale otrzymujemy systematycznie z Ostrowca pieniądze. Pozostało nam jeszcze 3 twarde, 180 miękkich, funty i perły, właściwie wierzyliśmy, że do końca wojny nam starczy, ale trzeba było udawać, że się [nic] nie ma i prócz tego Heniek chciał, bym pojechała do Głuchowskiego po odbiór jakiejś części naszego majątku, który był w jego posiadaniu, Zaczęliśmy więc planować wyjazd do Ostrowca ze Stachową, która chciała zwerbować ludzi do Niemiec. Trzeba było przeczekać ślub córki gospodarza i również czekać na list od Leona, czy przejechał. Na ślubie byłam obecna jako lokatorka, letniaczka państwa Piskorskich i krewna Stacha. Heniek z Tereską całą dobę siedzieli w kryjówce. Stach chciał mi nawet pożyczyć jakąś sukienkę, ale ja i tak musiałam sobie kupić, bo nie miałam więcej jak jedną, a tu lato i się wprost duszę. Kupiłam sobie czarną sukienkę za 280 zł i w niej byłam na ślubie.

30 lipca już byłyśmy ze Stachową na Dworcu Głównym z zamiarem wyjazdu do Ostrowca. Ale tu znowu się moje plany pokrzyżowały. Może powinnam była być za to złodziejowi wdzięczna, może byłoby mnie jakieś nieszczęście w podróży spotkało, ale na razie już miałam nieszczęście, bo wraz z torebką ukradł mi ponad 1000 zł, nowe pończochy, a najważniejsze oba dowody. Wyjazd oczywiście nie został zrealizowany. Stachowa za kilka dni sama pojechała. Gdy wróciła, przywiozła ze sobą list od Mariana, że wkrótce przyjedzie i przywiezie forsę. Tak też było, po tygodniu przy-

jechał i przywiózł 5 tys. złotych. Przekonaliśmy się, że on jedynie jest nam naprawdę oddany, i to bezinteresownie można powiedzieć. Po jego wyjeździe zaczęliśmy normalnie żyć, wiedząc, że co pewien czas będzie do nas przyjeżdżał i przywoził forsę.

Czas schodził na czytaniu, układaniu łamigłówek, politykowaniu i pisaniu listów do Niemiec. Przeżyliśmy razem z Leonem i Martą dużo i byliśmy naprawdę związani, jak bracia, toteż Heńka ogarnęła pasja pisania do nich i cokolwiek się zdarzyło i każdym wrażeniem się z nimi listownie dzielił. Ja natomiast załatwiłam dla nich finansową stronę. Zostawili do sprzedania w piecu u Stacha łańcuch złoty i inne drobiazgi do sprzedania, by za otrzymane pieniądze przesłać im bieliznę itp. rzeczy. Trochę nieprzyjemnie mi było, gdy doszłam w obecności Więckiewiczów do ich pieca po ten skarb, ale musiałam, bo Leon nas zostawił przed faktem dokonanym, a mógł przecież mnie to własnoręcznie dać, bo się widzieliśmy kilka dni przed odjazdem. Wszystko się udało sprzedać i wysłałam im rzeczy, ale jedynie za łańcuch Stach nie mógł osiągnąć sumy, jaką Leon wyznaczył. Stach twierdził, że próba jest fałszywa i chcą dać jako za małowartościowe złoto, nawet z nim poszłam raz i to się okazało prawda. Leon jednak wciąż twierdzi, że Stach nas chce nabrać i ja w to święcie wierzę, mógł uprzedzić złotnika przed naszym przyjściem. Do dzisiejszego dnia łańcuch jest u Stacha, my nie możemy się narazić, by nas Stach, o ile mu przyjdzie ochota, przez łańcuch szmalcował. Mamy z tym wiele kłopotu, bo czasem nam się zdaje, że Leon nas podejrzewa o zawarcie paktu ze Stachem i że wspólnie go chcemy oszukać. Od czasu do czasu wysyłamy do Leona listy niby od ciotki, w których jest wspomniane o Jezusie, chrzcie, kościele itp. rzeczy, bo Leon pracuje razem z Ukraińcem, który go podejrzewa. Ostatnio już rzadziej od nich otrzymujemy listy, bo na nasz adres nie chcemy, to wieś i wiadomo, że Piskorski nigdy listów nie otrzymywał, a mają przyjść na adres Stacha. Tymczasem Stach już od dwóch tygodni nie przychodzi i listów nie mamy.

Do naszych zajęć należy również łapanie pcheł, których tu mieliśmy (jeszcze dziś łapiemy do 5 dziennie) niezliczoną ilość. W ogóle się przekonaliśmy, jaki to czysty zawód. U Liwińskich było wszów całe roje, rano zbieraliśmy z rannych pantofli, z bielizny i sukien. Całe szczęście, że tam był kąpielowy i często się kąpaliśmy. Tu natomiast tych wielkomiejskich wygód nie ma i dostałam na ciele, rękach i nogach wrzody. W końcu nie wiem, czy to od pcheł, czy od złego odżywiania, czy też świerzb. Fakt, że długi czas musiałam smarować Inotidem, nawet raz z Heńkiem wysmarowaliśmy się Nowoscabinem i dzięki Bogu już mi schodzą wrzody. Teraz dużo czasu spędzamy nad czytaniem książek, których nam gospodarz przynosi z Elektrowni za 5 zł miesięcznie. Najwięcej przypadła Heńkowi do gustu „Nafta" Sinclaira, w której jest zdanie „wojna jest nieunikniona i skończy się zbolszewizowaniem całego świata". Oczywiście jest tu mowa o obecnej wojnie. Co piątek kupujemy też „7 Dni"[7] i dosyć często mamy tajne gazetki. Prawie co drugą czy trzecią środę (upatrzyłam sobie ten dzień jako najszczęśliwszy) jeżdżę do Warszawy dla improwizacji czy też po zakupy. Improwizacja polega teraz na tem, że na Żolibórz oni posyłają forsę, a ja jeżdżę po odbiór. Nawet raz

[7] Jedno z pism należących do tzw. prasy gadzinowej, wydawanej przez Niemców w Warszawie; pierwszy numer dwutygodnika „7 Dni" ukazał się 11 maja 1940 roku, nakład wynosił 40 000 egzemplarzy.

zaimprowizowaliśmy przed Stachem, że otrzymaliśmy list od najstarszego brata Heńka, który ma być w bandzie, postrach dla Stacha, że wkrótce będzie w tych stronach i do nas zawita.

Od przyjazdu z Ostrowca formalnie głodowaliśmy. Wtedy gdyśmy forsy mieli, Marta rządziła i jedliśmy czarny chleb z redyskami[8] lub i rambarbar, luksusem była cebulka smażona. Czasami kotlety wołowe lub końskie, wędlina końska itd. Dziś, gdy nasze zapasy się kończą, doszliśmy do wniosku, że mięso taniej wychodzi niż słonina, zresztą to co zjemy, będzie nasze. Inna rzecz, że jedząc teraz lepiej, jeszcze mnie znacznie taniej wynosi niż u Liwińskich suchy chleb i zupy.

Będąc pewnej środy w Warszawie, wstąpiłam do Antka, zastałam Witkę i Lodę. Ta ostatnia była zapłakana po stracie Bronka. Opowiedziała mi, jak to było: szmalcownicy przyszli do nich, a oni nie chcieli się dać i zabili jednego, drugi pobiegł po gestapo. Mężczyzn wykończyli na miejscu, a kobiety zaaresztowali. Marysia była z nią na spacerze i ocalała. Gdy się zwróciłam do Witki po mój dług i rzeczy Marty, odpowiedziała, że rzeczy są na Pradze u siostry a pieniądze leżą dla nas odłożone, ale nie można teraz przesłać ni przewieźć. Ale nadaremnie tam nie poszłam, warto było, bo był list od Szajńci, jeszcze z czerwca, w którym prosiła o pomoc finansową dla Motka i jego żony Marysi Kac. Natychmiast odpisałam, że i ja teraz nie jestem w lepszych warunkach i gdzie się mamy spotkać, pytałam. Odpisała na adres Stacha i 22 września, też w środę, spotkałam się z nią. Okazało się, że jest panną do dziecka u bardzo porządnych ludzi i ona w ogóle na swej drodze spotykała samych uczciwych ludzi. Tego samego dnia widziałam się z Eścią na schodach jej domu, gdzie pracuje. Była uszczęśliwiona, że jeszcze żyjemy i wyraziła chęć zobaczenia się z Heńkiem. Oczywiście ją zaprosiłam i Szajńcię również. Tej drugiej dałam do sprzedania 1 twardy. Byłam sama na placu Napoleona i już miałam prawie sprzedane, ale żandarmeria zaczęła rewidować ludzi na ulicy, więc mój klient i ja również się ulotniliśmy, każdy w innym kierunku. Już wolałam taniej wziąć i nie mieć takiego stracha. Umówiliśmy się spotkać w przyszłą środę znowu w tym samym miejscu w Alei Frascati. Tego samego dnia miałam jeszcze jedną przygodę, otóż przechodząc przez ulicę Hożą i patrząc się w okno wystawowe, spostrzegłam znajomą twarz. Zajrzałam jeszcze przez drzwi, by się upewnić, że się mylę, ale przeciwnie, zobaczyłam Motka Fefera i Marysię Kac. Ona mnie spostrzegła i wyszła do mnie. Dowiedziałam się, że pracują tu oboje za 1000 zł miesięcznie z mieszkaniem i żarciem. Renia we Włochach pracuje, Basia Halbersztat w Warszawie u krawcowej, a Lesiek Klajman na majątku pod Warszawą. Również Czernikowscy w dalszym ciągu są w Warszawie, nawet przeprowadzają sprawy zameldowania, wymeldowania i dowody. Szotlandowa z córką są w Warszawie i Fela Kac również. Ona od razu nie miała zaufania do Antka i nawet mówiła o tem z Leonem i Martą to ją wyśmieli. Ona jednak też do niego poszła po dowód dla Motka, kazali jej przyjść nazajutrz, a gdy przyszła, oczekiwali ją szmalcownicy, nic im nie dała, bo nie miała. Dowiedziałam się również od niej, że Marian Bajgielman został przez nich zastrzelony, a mieli go wysłać do Niemiec przez partię. Tak opowiadał Stach, że Heniek to załatwi, ale w końcu skomunikował się z matką i wujkiem i jest mu dobrze. Prawda się po wojnie wykryje.

[8] Rzodkiewki.

Wróciłam tego dnia późno do domu, bo Stefa mnie wstrzymywała, a gdy weszłam do naszego pokoju, Heniek wyglądał jak upiór, zaczerwienione oczy od płaczu i blady jak płótno. Był wściekły na mnie, bo myślał, że już mnie więcej nigdy nie zobaczy, „jak można tak późno przychodzić". Był to okres łapanek do Niemiec, prócz tego się przechodzi przez szlaban, a ja mam już trzeci dowód, przerobiony z Marty dowodu, w którym palce są spaskudzone.

Zdążyłam się już nazywać Janiną Ciechocińską, ten ostrowiecki o prawdziwych danych, Halina Stawiarska, lipa warszawska, oba dowody skradzione z torebką. Ten pierwszy złodziej odesłał pod właściwy adres do Ostrowca. Właścicielka tych danych to znaczy prawdziwa Janina Ciechocińska oddała go żandarmerii, właściwie pracownik chciał go wykupić, ale dlaczego nie doszło [to] do skutku, nie wiem.

Obecnie jestem Marta Morawska, urodzona w Wilnie i pragnę jak najprędzej wrócić do mego prawdziwego imienia i nazwiska. W niedzielę 3 t[ego] miesiąca [października 1943] odwiedziła nas Szajńcia, na widok której Heniek się rozpłakał. Wizyta ta była dla nas można powiedzieć rozrywką pierwszą od czasu przyjazdu do Warszawy. Opowiedziała nam swoje dzieje, ona w przeciwieństwie do nas spotykała na swej drodze tylko ludzi z sercem i uczciwych, którzy jej dużo pomogli. Na nasze twierdzenie, że Żydzi moralnie przewyższają Polaków, wprost się oburzyła. Najwięcej jej pomogła pani Janina[9], która nie tylko jej pomogła, ale również Reni [Niskier], Basi H[albersztat] i Cesi [Kleiman] i to prawie bezinteresownie. Ta pani Janina chce również i nam pomóc, dając nam metę za 1500 zł miesięcznie we dwójkę. Na razie mamy zapłacone do 3 listopada, możliwe, że się zdecydujemy na tę zmianę, bo to jednak kolosalna różnica w cenie. A może się wojna przez ten miesiąc skończy.

Dotychczas nic o polityce nie pisałam, ale muszę i o tem coś wspomnieć. W czasie gdy byłam u Liwińskich i Chmielewskich, w ogóle się polityką nie zajmowałam, tu z zaciekawieniem śledzę wypadki. Wtedy było aktualne zajęcie Tunisu, później gazety przepełnione były odkryciem grobów katyńskich, jak również listami czytelników Polaków, by Żydów nie ratować, to wrogi element, kto Żyda ratuje, sam zasługuje na śmierć itd. Gdyśmy byli u Chmielewskich, została zajęta Panteleria i Lampeduna i alianci już wysadzali pierwsze desanty na Sycylię. Obecnie już jesteśmy po kapitulacji Włoch. Bolszewicy częściowo przekroczyli Dniepr, a naloty na Rzeszę są ogromne. Koniec wojny jest namacalny, ale kto wie, jak długo się do niego będziemy zbliżać. Te dobre wiadomości dodają nam trochę otuchy, ale my jednak jeszcze wciąż jesteśmy narażeni, każdy przeżyty dzień jest dla nas wygranym i kto wie, czy my do końca dotrwamy. Dobrze nam się daje we znaki prostactwo naszych gospodarzy, nałóg pijaństwa go-

[9] Pani Janina Grundgand, jak wynika oświadczenia nadesłanego w 1963 roku do ŻIH przez Basię Folkman, Hindę Malachi i Renię Szewes (301/5970), mieszkała w czasie okupacji przy Łowickiej 53 i pomagała wielu Żydom, w tym kilku Żydówkom z Ostrowca. Do akcji pomocy wciągnęła także swoją siostrę Mirę Merson (Madalińskiego 42) oraz znajomych, państwa Dulskich (Odolańska 20). Kilkoro Żydów mieszkało u p. Janiny, innym znajdowała mieszkania, pracę, załatwiała metryki (Hinda dostała metrykę po zmarłej Apolonii Szybowskiej i na jej podstawie wyrobiła sobie autentyczną kenkartę) i ratowała w kryzysowych sytuacjach. Hinda pracowała najpierw jako pomoc domowa u dalszej znajomej p. Janiny, a później, kiedy ta urodziła córkę – jako opiekunka do niemowlęcia. Razem przeżyły powstanie warszawskie.

spodarza i częste o to awantury. Raz nawet tak się pobili, że krzyki było słychać na całej Placówce[10]. On przychodzi późno po pijanemu do domu, twierdząc, że jemu się nic nie stanie. Ale gdzie jego odpowiedzialność? Mając nas, musi się starać być korekt, a nuż go po godzinie policyjnej zabiją i żandarmeria przyjdzie, o nieszczęście nie trudno. Są wielkimi antysemitami, co się widzi na każdym kroku, czy to w stosunku do Teresy, czy też podrabiając jak Żydzi po polsku mówili. Najwięcej się wyśmiewa z tego, że Żydzi mówili: „Kurwi twoja moja mać". Heniek słusznie mówi, że on wie, jak się mówi i to dokładnie i nie tylko to wyrażenie, ale wiele gorszych i umie je dokładnie wymówić, tak soczyście. Nie czujemy wcale do nich sympatii i mimo że Stach nam dużo złego zrobił, jego wolimy jako człowieka, z którym można porozmawiać i mądrość tryska z każdego słowa. Gdy Więckiewiczowie tu mieszkali, starali się zacieśnić naszą przyjaźń, przynosząc różne przysmaki własnego wypieku czy wyrobu i nie przepuszczali dnia, by się z nami nie zobaczyli. Jesteśmy trochę niespokojni, że nie przychodzą, ale wierzę, że z ich strony tym razem już nam nic nie grozi. Wszyscy mówią, że bolszewicy przyjdą, więc na pewno zechce z nami żyć w zgodzie.

W niedzielę 3 otrzymaliśmy list od Mariana ze szpitala, jest chory na tyfus brzuszny. Poza tem wszystko w Ostrowcu w porządku, myśmy byli pewni, że tam w koszarach już się coś stało. Najwięcej się nami interesuje szwagier Pracownik, który z Marianem wszystko co trzeba dla nas załatwia. Kazaliśmy odebrać częściowo od Głuchowskich i Janiszewskich i umieścić u Mariana, jak również Abramowi pisałam, by mój posag w towarze też umieścił u Mariana.

Dowiedzieliśmy się, że Wilek już jest z powrotem w Koszarach. Według Stacha jest w Warszawie na jakiejś mecie i przychodzi do Maciaka prosić, by go z powrotem przyjął. Musieli stamtąd iść, bo podczas nieobecności Maciaków rozpalili w kuchni, nie odsuwając szybera i wskutek tego powstał dym, który się wydostawał przez szpary od drzwi i okien, i sąsiedzi się zbiegli, no i dłużej już tam zostać nie mogli. Czy to prawda, też nie wiadomo, tak Stach opowiadał. Lipszyc również jest w Koszarach, zwróciliśmy się do niego po pożyczone 1000 zł, to nie chce oddać, twierdząc, że to dla Najmana było. Także pani Judkiewicz nie chce oddać 20 miękkich, bo już oddała Antkowi. Ma ciężkie miliony, mogłaby bieliznę oddać i już w takim położeniu jak my była i mimo to nie uważa za stosowne oddać. Na tem tylko Tereska cierpi, bo na pewno byśmy nie pozwolili, by tak głodowała. I tak od czasu do czasu od nas coś dostaje, ale to nic – ona jest strasznie wygłodzona. Dostaje taką dietę, jaką Hitler na kartki daje. Sypia bez poszwy i bez prześcieradła, rodzice jej przysłali powleczenie, ale gospodyni twierdzi, że się już w praniu rozdarło, bo Stachowa przywożąc to, zamieniła na gorsze. Serce boli patrzeć, jak ją traktują za 30 tysięcy złotych!!!

Ale swoją drogą z nią nie współczuwamy, to jest dziecko diabeł. Głupio oddana gospodarzom, którzy ją jak psa traktują, nie wolno nic przed nią mówić, bo zaraz schodzi na dół opowiadać. Wszystkie rzeczy jej noszą, nawet kartki do pisania jej nie chcą dać, a świerzb jej się trzyma od naszego przyjścia tu, to znaczy 4 miesiące prawie. Heniek często z nią żartuje z nudów, zalecając się do niej lub wyśmiewując się z jej rodzi-

[10] Placówka – wówczas osada pod Warszawą, pomiędzy Wólką Węglową a Młocinami, obecnie część miasta.

ny i całego Konina. Poza tem często wspominamy naszych najbliższych, czasy dzieciństwa i młodzieńcze lata; życie w domu rodzicielskim i nasze wspólne przed i po ślubie. Wspominając naszych najbliższych, którzy tak tragicznie zginęli, zastanawiamy się, czy my jesteśmy lepsi od nich.

Heniek stanowczo twierdzi, że czuje koniec wojny pod skórą, już, już, już...

Liczymy często, ilu naszych znajomych Żydów prócz w Koszarach są w Niemczech. Są nimi: Lesi Hercyk, Maria i Bina Rembiszewska, Kisel i Lajka Goldblum, Tuszer, Bronia Landau, Zygger z Iłży, Leon [i] Marta, znani nam z opowiadania Antoni, Hanka i Jadwiga żona Szm. Bleichena i również Bramowa, która ze mną rok temu wyjechała.

W Warszawie są: Hela i Dorka Klajman, mąż z dzieckiem tej drugiej, Rózia Piekarczyk, Wajnworchówna, rodzina Czernikowskich i Marek Obwarzanek, Chaim Langier, Kacówka Blondynka, Motek Fef[er] z żoną, Renia [Niskier], Basia [Halbersztat], Cesia [Kleiman], Szajńcia, Eścia, Szerówna, która nasyła szmalcowników, i Genia Lifszyc, która się podobno tym samym zajmuje.

Stwierdziliśmy, że nie moglibyśmy się wyżyć bez Żydów, wśród samych Polaków. Prosimy Boga, by zostawił jeszcze tę minimalną garstkę Żydów w Koszarach. Piszę tak, jak ja bym miała tę pewność, że my przeżyjemy. Wierzę w to, choć na każdym kroku jesteśmy narażeni.

Na tym kończę opis rocznych naszych dziejów, by już normalnie pisać to, co jest godne zanotowania. Jest to naprawdę minimum tego, co przeżyliśmy, a naszego stanu duchowego w ogóle nie byłam w stanie opisać, bo do tego trzeba jednak mieć zdolności.

Do druku przygotowała *Barbara Engelking*

Słowa kluczowe
Zagłada, ukrywanie się, strona aryjska, życie codzienne Żydów pod okupacją niemiecką

Abstract
This is a fragment of the diary of Hinda and Chanina Malachi**,** written in hiding on the „Aryan side" in Warsaw. The diary of the Malachi couple was written in Polish in a squared-paper arithmetic notebook. It covers the period between 9 October 1942 and 30 August 1944. The first part of the diary published here (until 3 August 1943), was written by Hinda and describes the fate of both spouses since they left their home in Ostrowiec and moved to Warsaw. Hinda and Chinina Malachi survived the war and in 1947 emigrated to Israel.

Key words
Holocaust, hiding, the Aryan side, everyday life of Jews under the German occupation